MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 22 WARSZAWA, 30 MAJA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

KSIĄDZ ARCYBISKUP
JÓZEF TEODOROWICZ

TYLU drogocennymi związkami połączona jest z narodem działalność ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza, że wiadomość o Jego jubileuszu musiała stać się nakazem, aby przy tej okazji całe społeczeństwo polskie złożyło mu hołd należny. Aby uprzytomnić ogółowi tę szlachetną postać, podajemy krótki życiorys, sporządzony przez Katolicką Agencję Prasową.

Dnia 29 maja b. r. obchodzi 50-lecie swego kapłaństwa J. E. Ks. Dr. Józef Teofil Teodorowicz, arcybiskup metropolita obrz. ormiańsko-katolickiego, jeden z najwybitniejszych i najzasłużeńszych członków Episkopatu Polskiego.

Dostojny Jubilat urodził się dn. 25 lipca 1864 r. w Żydaczowie (pow. horodeński) z ojca Grzegorza i matki Gertrudy z Ohanowiczów. Pochodzi ze starego ormiańskiego rodu ziemiańskiego o rycerskich tradycjach. Starożytnym znakiem rodowym Teodorowiczów jest „krwawe serce na złotej tarczy" w cieniu dwóch palm z dwoma u góry białymi gołębiami nad otwartą przyłbicą. Ród ten zrósł się z Polską i polskością, jak wiele innych rodów ormiańskich.

Po ukończeniu gimnazjum w Stanisławowie w 1882 r. przyszły Arcypasterz wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu w Czerniowcach na Bukowinie. Po roku jednak, idąc za głosem powołania kapłańskiego, przeniósł się na wydział teologiczny uniwersytetu we Lwowie. Po dalszych zaś studiach zagranicą w 1887 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ś. p. arcybiskupa Isakowicza.

Pracując jako wikariusz w Stanisławowie i Lwowie, a następnie na stanowisku proboszcza w Brzeżanach, ks. Józef Teodorowicz zasłynął jako złotousty kaznodzieja i gorliwy duszpasterz. W r. 1897 zostaje kanonikiem gremialnym i piastuje w kapitule ormiańskiej we Lwowie urzędy penitencjarza i kaznodziei. Jako radny m. Lwowa bierze żywy udział w pracy społecznej. Wydaje również przez pewien czas „Ruch Katolicki" i dziennik „Przedświt".

W r. 1901 po zgonie ś. p. arcybiskupa Isakowicza ks. Teodorowicz został przedstawiony Stolicy Apostolskiej przez kapitułę na następcę tego zmarłego arcypasterza. Leon XIII dn. 16 grudnia tegoż roku prekonizował ks. Teodorowicza, zaś dn. 2 lutego 1902 r. ś. p. kardynał Puzyna udzielił mu sakry biskupiej. Na swym wysokim stanowisku ks. Arcybiskup Teodorowicz, idąc śladami swego poprzednika, rozwinął szeroką działalność na polu religijnym, narodowym i społecznym. Nielicznych ma diecezjan, ale wskutek tego, jak to słusznie podkreślili akademicy lwowscy, „diecezją Jubilata stała się cała Polska".

Przed wojną Ks. Arcybiskup Teodorowicz piastował godność członka austriackiej Izby Panów, posła na Sejm galicyjski i należał do Rady Szkolnej Krajowej. W Wiedniu odważnie zabierał głos w obronie praw narodu polskiego. Słynna zwłaszcza była Jego mowa w Izbie Panów w przededniu upadku Austrii. W okresie wojny światowej wraz ze ś. p. Arcybiskupem Bilczewskim dzielnie wy-

stępował w obronie ludności Lwowa i Małopolski, krzywdzonej przez okupacyjne władze rosyjskie. Był w odrodzonej Polsce posłem na Sejm ustawodawczy i powitał go pamiętną mową w archikatedrze św. Jana w Warszawie. Piastował też w 1922 r. krótko mandat senatorski. W dobie walki o Śląsk — nie pozostawał obojętnym widzem. Odbył w tej sprawie podróż do Rzymu a w Paryżu i Brukseli w odczytach swych zwracał uwagę na słuszność żądań Polski.

Po wycofaniu się z życia politycznego Najdostojniejszy Jubilat oddał się całkowicie działalności duszpasterskiej i pracom literackim. Odnowił i upiększył prastarą katedrę ormiańską we Lwowie, cenny pomnik architektury ormiańskiej, jedyny w Europie.

Dorobek naukowy i literacki Księdza Arcybiskupa Teodorowicza jest bardzo poważny. W 1922 r. w Poznaniu ukazał się zbiór Jego kazań p. t. „Na przełomie", omawiający zagadnienia z życia narodowego w sposób tak głęboki, iż stanowią one dla historyka kultury polskiej dokument pierwszorzędnej wartości.

Od lat 14 pracuje Arcypasterz nad monumentalnym dziełem: „Żywot Jezusa Chrystusa". Obecnie wychodzi już tom III tej pracy. Arcybiskup Teodorowicz występuje tu przede wszystkim jako obrońca bóstwa Chrystusa. Dzieło to cechuje jasność wykładu, gruntowność wiedzy teologicznej i historycznej autora.

W głośnej sprawie stygmatyczki Teresy Neumann z Konnesreuth Ks. Arcybiskup wystąpił w obronie chrześcijańskiej mistyki. W książkach w języku polskim p. t. „Zjawiska mistyczne" i w niemieckim p. t. „Konnesreuth" dał Ks. Arcybiskup gruntowny wykład o stanach mistycznych duszy, zyskując uznanie ze strony najpoważniejszej krytyki katolickiej.

W latach 1920 i 1923 ogłosił również dostojny Jubilat dwa tomiki rozważań p. t. „Mnie żyć jest Chrystus" i „Okruchy ewangeliczne". Są to prawdziwe perły naszej literatury ascetycznej. Zwięzłość, bezpośredniość odczucia, artyzm słowa i duch, którego wyrazem są słowa św. Pawła „Żyję już nie ja, żyje we mnie Chrystus" — są charakterystycznymi właściwościami tych medytacyj. Niezrównany dar słowa, głębia myśli i przepiękna forma literacka pociągały niezwykle licznie inteligencję polską na konferencje i rekolekcje prowadzone przez Ks. Arcybiskupa. Znało dostojnego jubilata z tych konferencyj każde niemal większe miasto, zwłaszcza przed wojną, gdy niezmordowanie budził w narodzie ducha religijnego i patriotycznego.

Ks. Arcybiskup Teodorowicz był niezmordowanym pracownikiem konfesjonału. Wzorem ks. Semenenki pociągał dusze do Chrystusa łagodnością, ojcowską miłością, która nie lęka się żadnej trudności i nie odstręcza zbytnim rygoryzmem. Jako kierownik duchowy umiał przedziwnie łączyć wzloty mistyczne z powszednią pracą społeczną. Jego też dziełem jest kongregacja Pań Ziemianek p. w. Matki Boskiej Kochawińskiej, instytucja o dużych zasługach dla Kościoła i Polski.

Jest Ks. Arcybiskup Teodorowicz wielkim przyjacielem młodzieży. Uczył ją patrzeć na zjawiska społeczne oczyma wiary i nigdy nie ukrywał przed młodymi swego ojcowskiego sądu o jej czynach, jeśli kiedy uważał, iż postępują niewłaściwie.

W dobie niewoli był Ks. Arcybiskup budzicielem duszy narodowej. Był prorokiem naszej niepodległości, jak drugi Skarga — karcicielem naszych wad i przywar. Był mężem Bożym prostującym ścieżki narodu. Jemu też należy się dziś tytuł zaszczytnie zasłużony — duchowego wodza katolickiej Polski.

Tyle Agencja. Podkreślić należy z naciskiem, że Ks. Arcybiskup Teodorowicz wielce się zasłużył narodowi, jako gorący i mądry patriota. Nigdy nie zawiódł jako arbiter i doradca w najcięższych chwilach dziejów Polski. Poważną rolę polityczną odgrywał w Galicji przed wojną. Pamiętamy z wdzięcznością jego udział w Sejmie Ustawodawczym wolnej Polski. Ale nie da się obliczyć tej największej zasługi, że jako arcypasterz na swym posterunku wysuniętym na Wschód w sercu Ziemi Czerwieńskiej był chorążym sztandaru polskiego w tej dzielnicy.

Ks. Arc. Teodorowicz należy do rzędu tych czcigodnych posłanników Kościoła Katolickiego w Polsce, którzy zrozumieli głęboką prawdę służby Bożej, aby ona szła w parze i przy pomocy uczuć patriotycznych narodu, który wziął za zasadę swej budowy psychicznej i moralnej myśl rzymsko-katolicką. Należy do tych mistrzów nauki katolickiej, którzy poprzez przesilenia doprowadzą wreszcie Kościół do pogodzenia jego misji uniwersalistycznej z tem realnem oparciem, jakie on dotąd znajdował w duszy żyjących narodów.

Należy do zwiastunów wielkiego renesansu Kościoła, który uświęcił już koronę polską na czole Królowej Niebios, a z wiary katolickiej czyni polifoniczną pieśń narodów do Boga.

Czas odnowić przedpłatę na „MYŚL NARODOWĄ" za kwartał trzeci lub odrazu za drugie półrocze. Warunki prenumeraty na ostatniej stronie. Dla ułatwienia przesyłki pieniędzy dołączamy do zeszytu niniejszego blankiety rozrachunkowe, dogodniejsze niż przekazy.

Wydawnictwu bardzo zależy na wczesnym rozrachunku.

NIEBEZPIECZEŃSTWO MASONERII

MASONERIA A FRONT LUDOWY

STAWISKIADA, mimo umiejętnego tuszowania skandalu we wszystkich instancjach — w śledztwie, w Komisji parlamentarnej i w sądzie [1]) pozostawiła jednak głębokie ślady w życiu politycznem Francji, w którem tak wielką rolę gra masoneria.

Jednym z wyników jej jest osłabienie stronnictwa radykalnego, co zmusiło „tajnych przywódców" do wysunięcia na jego miejsce bardziej radykalnych ugrupowań lewicowych — socjalistów i komunistów, jak również do wyraźnego i jawnego wysunięcia hasła „frontu ludowego" w obawie przed „faszyzmem" stronnictw umiarkowanych.

„Faszyzm" w terminologii masońskiej oznacza poprostu aktywną działalność grup prawicy i środka; aktywność ta była prostym i logicznym skutkiem reakcji zdrowej części społeczeństwa francuskiego na bezmiar zepsucia i zbrodni w łonie masonerii i stronnictwa radykalno-socjalistycznego, ujawnionych przez wykrycie „stawiskjady".

Hasło „frontu ludowego", a więc zjednoczenia wszystkich ugrupowań radykalno-demokratycznych, socjalistycznych i komunistycznych, całej „lewicy" — mimo chwilowego wzmocnienia, na dalszą metę musi doprowadzić do osłabienia sił lewicy i atrakcyjności programów jej grup, a to dlatego, że ujawnia jedność organizacyjną całej lewicy.

Jedność tę zapewnia organizacja „stojąca ponad partiami", t. j. masoneria, do której należą przywódcy i większość działaczy wszystkich stronnictw lewicowych francuskich. Ponieważ masoneria ma jeden tylko program społeczno-gospodarczy i polityczny, więc ujawnienie wspólnej przynależności do „frontu ludowego" i do masonerii przywódców zarówno partii komunistycznej. jak i radykalnej, przyczynić się powinno do tego, by przeciętny obywatel stwierdził własnymi oczyma, że odrębne programy różnych stronnictw „demokratycznych" są fałszem, obliczonym na „mydlenie oczu" wyborcom. W rzeczywistości, wszyscy masoni, a więc wszyscy „lewicowcy", wszyscy „wrogowie faszyzmu" podlegają kierownictwu masońskiemu a jaki jest jego program—poznamy choćby z tytułów „prac" lożowych w ostatnich latach.

NAKAZ MILCZENIA

Następstwem stawiskjady było też wystąpienie — nielicznych zresztą — adeptów z łona masonerii. Jeden z takich byłych „mistrzów" (mason 3-go stopnia), Albert Vigneau, odkrywa nam kulisy działalności masońskiej. W ciągu niespełna dwóch lat wydał już 3 książki: *„La Loge Masonnique"*, *„Sous le Triangle"* i *„La F:. M:. — danger social"*. Tę trzecią książkę, wydaną przy współudziale znanego poety francuskiego Vivienne Orlanda, omówimy tutaj pokrótce.

W pierwszym roździale autor szeroko omawia „nakaz milczenia" o wszystkiem, co się dzieje w lożach. Nakaz ten obowiązuje każdego adepta masonerii od chwili, kiedy poraz pierwszy przekroczy próg świątyni masońskiej, powtarzany jest na każdem zebraniu loży, a przy awansowaniu na wyższy stopień wtajemniczenia potwierdzany jest nową, coraz to uroczystszą przysięgą.

„Nakaz milczenia" jest cechą najistotniejszą masonerii i świadczy wyraźnie, że działalność jej nie znosi światła dziennego. Wytwarza on wśród masonów swoistą psychikę, przyzwyczajenie do tajemnego działania, do ukrywania czy to czynów swoich, czy też tylko pobudek działania przed profanami [2]). Wskutek tego ustosunkowania się masona do profanów już z samego założenia nabiera cech nieszczerości, a często i świadomego fałszu. Ten stosunek, nacechowany nieszczerością, a więc i nielojalnością wobec społeczeństwa stojącego poza masonerią, przejawia się też i w jej działalności politycznej.

Świetną ilustracją są słowa nagany dla b. premiera francuskiego, Edwarda Herriota [3]), wypowiedziane przez Wielce Znakomitego Brata Wirtha, słynnego masona francuskiego — z powodu „niedyplomatycznego" postępowania przy narzucaniu ustaw świeckich religijnej Alzacji, co wywołało w tej dzielnicy silną reakcję: „To nie w ten sposób należy zabierać się do rzeczy; na początku należy działać, a już po fakcie dokonanym ogłaszać o tem ludziom".

LOŻE TAJNE I LOŻE ŻYDOWSKIE

Gdy adept masoński przyzwyczai się już do działania w ukryciu i do ścisłego przestrzegania „nakazu milczenia", zostaje dopuszczony do wyższych stopni masońskich. Tutaj uchyla się przed masonem jeden rąbek tajemnicy po drugim, a jednocześnie uzyskuje on możność do coraz szerszego działania przy pomocy „braci" niższych stopni w myśl wskazań ogólnych masonerii powszechnej. Jakie są te wskazania powie nam najlepiej Wielki Mistrz Jakób Maréchal [4]):

„1) pomszczenie śmierci Templariuszów..., zemstę tę mają wywierać na Kościele Katolickim;

2) zniesienie granic dla ustanowienia powszechnej Republiki masońskiej;

3) zniszczenie tradycyjnej Rodziny dla wyzwolenia dzieci i małżonki — zgodnie z moralnością świecką".

Nie możemy omówić tutaj wszystkich savvy rewelacji o tajnych i ściśle tajnych lożach masońskich, ani też o lożach „wojskowych", których organizacja miała na widoku cele odrębne. Powtórzmy tylko za Albertem Vigneau wiadomość następującą, podaną w *„B'nai B'rith Magazine"* ze stycznia 1932 r., na str. 122 [5]):

---

[1]) 22 stycznia PAT-iczna podała wiadomość z Paryża, że śledztwo w sprawie zabójstwa sędziego Prince'a zostało umorzone. Zabity sędzia był masonem, ale mimo to usiłował wykryć kulisy afery Stawisky'ego i za to został zamordowany przez „braci".

[2]) Profanami masoni nazywają wszystkich niemasonów,

[3]) Jak wiadomo, Herriot, przywódca radykałów francuskich, będących w większości masonami, sam nie jest masonem.

[4]) Cyt. A. Vigneau i V. Orland, La F.: M.: — danger socjal, str. 26.

[5]) p. „La F.: M.: — danger social" — str. 41.

„Loża *B'nai B'rith* w Paryżu nr. 1151 otrzymała swoją kartę konstytucyjną. Jej formalna instalacja nastąpi niebawem, a uroczystościami kierować będzie Dr. Samuel Daiches z Londynu, przewodniczący Wielkiej Loży Dystryktu 15-go (Anglia).

Francja jest 26-tym z pośród krajów, gdzie Zakon *B'nai B'rith* założył swoje odrębne organizacje krajowe. Działa już w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Egipcie, Palestynie, Rumunii, Austrii, Rzeszy Niemieckiej, Syrii, Polsce, Algierze, Czechosłowacji, Bułgarii, Turcji, Szwajcarii, Jugosławii, Anglii, Danii, Grecji, Szkocji, Panamie, Chinach , na wyspach Sandwich, w Argentynie i Holandii".

Wiadomość ta świadczy o tem, że eksklusywnie żydowski Zakon masoński *B'nai B'rith* ogarnia siecią swoją wszystkie kontynenty, a w Europie bardzo nieliczne państwa wolne są od tego niezbyt pożądanego sublokatora.

MASONERIA A POLITYKA

Masoneria wobec świata „profanów" głosi wciąż, że się polityką, a zwłaszcza polityką praktyczną nie zajmuje. Przeczą temu niezliczone fakty historyczne ostatnich stuleci, jak również żywy udział masonów w działalności społeczno-politycznej wielu państw, zwłaszcza w łonie ugrupowań rewolucyjnych wszelkiego rodzaju.

W omawianej przez nas książce Alberta Vigneau podane są programy zebrań lożowych i tytuły odczytów tam wygłaszanych. Z długiej listy ich zacytujemy kilka z lat ostatnich:

— 29 listopada 1933 r. Loża „*Akadémos*" — Świat, co się tworzy (Konstrukcja Z.S.R.R.),

— 10 października 1934 r. Loża „*La Franche Amitie*" (Szczera przyjaźń) — Rosja dzisiejsza,

— 7 kwietnia 1925 r. Wielkie Zebranie Otwarte [6]) w Loży „*Etoile Polaire*" (Gwiazda polarna) — Ku realizacji socjalizmu. Co zrobimy, gdy będziemy u władzy,

— 19 kwietnia 1935 r. Loża „*Etienne Marcel*" — Manifest komunistyczny Karola Marksa i Engelsa a sytuacja obecna,

— 16 maja 1935 r. Loża „*Nouvelle Jéruzalem*" (Nowa Jerozolima) — Ku republice socjalistycznej,

— 8 lipca 1935 r. Loża „*Lafayette*" — Front Ludowy: program działania dla Zjednoczonej Lewicy,

— 21 października 1935 r. Loża „*Agni*" — W przededniu rewolucji (struktura rewolucyjna dzisiejszego społeczeństwa francuskiego).

Cytowane tytuły świadczą o kierunku, w jakim dążą zainteresowania masonerii. Prócz tego bardzo liczne są konferencje z dziedziny „świeckości", t. j. walki z Kościołem i Rodziną; dalej walka z „faszyzmem" zajmuje „braciom" dużo czasu, a w okresie wyprawy abisyńskiej Mussoliniego, ataki na niego były szczególnie zażarte. Wiele innych zagadnień społeczno - politycznych omawia się na zebraniach lóż, a w jakim duchu, to sądzić możemy z samego doboru tematów.

Książka Alberta Vigneau i Vivienne Otlanda „Masoneria — niebezpieczeństwem społecznem" w zupełności treścią swoją potwierdza oskarżenie, zawarte w tytule. Odkrywając wiele tajemnic, ukrytych przed okiem profana, może się przyczynić do osłabienia sekty, a tem samem i grożącego z jej strony niebezpieczeństwa, jeżeli naród francuski i inne narody, podminowane przez masonerię, zorganizują skuteczną akcję przeciwmasońską i przeciwkomunistyczną.

WIK.

---

[6]) Dostępne również dla zaproszonych profanów.

PRZYJACIEL CHROBREGO

(W 940 ROCZNICĘ ZGONU ŚW. WOJCIECHA)

DZIĘKI księżniczce czeskiej Dobrawce, która oddała rękę księciu Polan Mieszkowi, Polska w r. 966 przyjęła chrzest i weszła w grono państw chrześcijańskich Europy. Mieszko był budowniczym państwa polskiego: on skupił pod swem panowaniem kilka odrębnych wpierw szczepów słowiańskich, wyrobił w nich poczucie wspólnoty nietylko krwi, ale i interesów, a tą wspólnotą oraz przyjęciem wiary Chrystusowej zabezpieczył je od uroszczeń i najazdów niemieckich.

Granice tego państwa nie odrazu były ustalone. Ich utrwaleniem zajął się znakomity syn Mieszka i Dobrawki, Bolesław, zwany Chrobrym albo Wielkim. Wedle podania bił on słupy graniczne w Dnieprze, Sali i Łabie; w rzeczywistości do rzek tych dochodziły bitne zastępy Bolesława, a z niemi na pewien czas i panowanie. Celem wielu wojen tego władcy było szersze skupienie szczepów słowiańskich w jedną całość państwową. Jednocześnie prowadził on dalej dzieło swego ojca także w zakresie wewnętrznym, krzewiąc i umacniając w państwie wiarę, a tem samem kulturę chrześcijańską.

Te dwa główne cele wielkiego króla — stworzenie jednolitego państwa polskiego i ugruntowanie w niem chrześcijaństwa — ziściły się niebawem nietylko dzięki bystremu umysłowi Bolesława i jego dzielności, ale też w znacznej mierze dzięki jego przyjacielowi i doradcy, przybyłemu do Polski gościowi, jednemu z najświatlejszych i najświętszych ludzi ówczesnej Europy. Mężem tym był pierwszy patron Polski, św. Wojciech.

Nie z polskiej ziemi był on rodem, ale zanim do Polski zawitał, był już z nią wieloma węzłami złączony. Nietylko węzłem krwi i mowy słowiańskiej, którą się przed obcymi szczycił, mówiąc: „*Sum natione Slavus*", „Z narodowości jam Słowianin". Ale jeszcze silniejszy był węzeł dziedzicznej rodowej sympatii, jaką żywił do Polski i jej władców—Piastów.

Pochodził św. Wojciech z rodziny udzielnych książąt słowiańskich, mających dość obszerne państwo na pograniczu Polski. Stolicą tego księstwa była Lubica (Libice); wchodziła w jego skład zachodnia część dzisiejszych Czech z kawałkiem Moraw, z drobną cząstką Łużyc i Śląska; grodem pogranicznym z Polską było Kładzko.

Książęta lubiccy byli gorliwymi chrześcijanami, a podobnie jak Mieszko i Bolesław Chrobry

widzieli ponadto w przyjęciu wiary chrześcijańskiej ratunek przed zaborczością niemiecką. Polityka ich względem cesarzy była podobna do polityki polskich władców, z którymi też byli związani jakoby przymierzem, zwłaszcza, że w Polsce szukali oparcia przeciwko zakusom książąt czeskich, Przemyślidów, dążących do rozszerzenia swego państwa właśnie przez zagarnięcie księstwa lubickiego. Niebezpieczeństwo to było na pewien czas zażegnane, póki żył na świecie dobrotliwy książę lubicki Sławnik, utrzymujący dobre stosunki i zgodę z sąsiadami, a przytem spokrewniony dość blisko z samym cesarzem. Miał on kilku synów, których otaczał troskliwą opieką, dbając nietylko o zapewnienie im znaczenia w świecie, ale też wysokiego stopnia ogłady i kultury. Posyłał ich przeto bądź do najsławniejszych szkół ówczesnych, bądź na dwory panujących. Jeden z tych synów, Poraj, przebywał podobno przez czas dłuższy w Polsce, gdzie od niego wywodzi się ród, mający w herbie godło Sławnikowiczów: Różę.

Ze wszystkich synów Sławnika największe nadzieje rokował i wielu zaletami powszechną zwracał uwagę ten, któremu nadano wymowne imię Wojciech, oznaczające według świadectwa ówczesnych pisarzy „pociechę wojska" („*consolatio exercitus*"; zapewne marzeniem ojca było, żeby ten urodziwy chłopaczek został rycerzem. Ale wyroki Boże zrządziły inaczej. Nadeszła ciężka choroba, i ukochane dziecię bliskie było śmierci. Nie widząc już innego ratunku, spłakana matka, Strzeżysława, zaniosła je do kościoła i ofiarowała pod opiekę Bogurodzicy. Dziecię podniosło martwą powiekę, odzyskało zdrowie. Odtąd już Wojciech uznany za poświęconego Bogu i Marii, rósł szczęśliwie, zyskując sobie powszechną miłość wielkimi zaletami serca i umysłu. Ponieważ ujawniał wielkie pragnienie wiedzy i równie wielkie zamiłowanie w śpiewach religijnych, oddano go do najsłynniejszej wówczas szkoły, ufundowanej w Magdeburgu przez cesarzową niemiecką, Greczynkę Teofano. Tam się nim opiekował przyjaciel Sławnika, światły arcybiskup Adalbert, który młodego ucznia tak pokochał, że na bierzmowaniu dodał mu do dotychczasowego miana swoje własne imię; stąd to u innych narodów nasz św. Wojciech znany jest pod imieniem Adalberta.

Młody syn Sławnika nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Uczył się świetnie i zarówno pilnością, jak wynikami nauki prześcignął kolegów. A trzeba wiedzieć, że nauczyciela miał wymagającego, który najmniejszą omyłkę w czytaniu i deklamacji karał chłostą. Spotkało to raz i młodego Wojciecha; gdy już surowy mistrz Oktryk brał się do rózgi, uczeń naraz przypomniał sobie całą lekcję, ale ...zapomniał o tym, że w szkole wolno mówić tylko po łacinie, zaczął więc krzyczeć po słowiańsku: „*gospodine pomiłuj*" — gdy zaś to nie pomogło, jął najpierw w języku saskim, a dopiero nakoniec po łacinie upraszać zmiłowania. Tak więc już w dzieciństwie dał dowody wielkiej łatwości w uczeniu się języków, którą miał i później ludzi zadziwiać, skoro z cesarzową i z mnichami w Italii biegle rozmawiał po grecku, a w czasie pobytu w Polsce wygłaszał do ludności miejscowej kazania po polsku.

Jedynym roztargnieniem w nauce była dla Wojciecha modlitwa, na którą wymykał się pokryjomu do kościoła w przerwach między lekcjami. Piszą o nim stare żywoty średniowieczne, iż „ten czas, który inni przeznaczali na zabawę i żarty lub na wysypianie się po kątach, on spędzał na czytaniu psałterza lub zasyłaniu skrytych modłów do Pani swej, Bogurodzicy Dziewicy, szukając pokrzepienia duchowego". Nieraz i w nocy opuszczał pomieszczenie szkolne, to udając się z arcybiskupem do kościoła św. Jana Chrzciciela na nocne modły zakonników, to znów zachodząc w zakątki miasta i wspomagając po cichu nędzarzy. Koledzy mieli mu to za złe, że unikał ich towarzystwa, nieraz mu też płatali figle. Raz jeden z nich popchnął go dla żartu na przechodzącą dziewczynę; zawstydzony niewinny chłopiec rozpłakał się rzewnie i wybuchnął skargą: „Jakież mnie spotkało nieszczęście! Zmuszają mnie, bym się ożenił!".

To drobne zajście było pierwszym może nieporozumieniem, na jakie odtąd często narażać się musiał zapatrzony w niebo i zamyślony o pięknie wiekuistym syn Strzeżysławy, ilekroć wypadło mu zetknąć się ze sprawami czysto światowymi, z przyziemnymi ludzkimi dążnościami, namiętnościami i zawiścią. A oto niebawem znalazł się w kręgu tych spraw ziemskich, gdy po skończeniu szkoły magdeburskiej wracając do ojczyzny zatrzymał się w Pradze. Zdarzyło się, że w czas niedługi potem zmarł pierwszy biskup praski. Niemiec Detnar. Gdy toczyły się narady nad ustanowieniem jego następcy, nagle wmieszał się do nich lud praski, jednogłośnie domagając się, żeby biskupem został nie kto inny, ale młody kleryk Wojciech, słynący mądrością, uczonością i świętobliwym życiem, a przytem znający doskonale mowę słowiańską.

Przychylić się do woli ludu musiał książe czeski Bolesław Pobożny i wyjednał zatwierdzenie wyboru u cesarza Ottona II. W każdym razie jednak ta wziętość i ten niespodziany zaszczyt, jakie stały się udziałem młodocianego syna księcia Sławnika, jednocześnie zabolały mocno i zaniepokoiły czeskich Przemyślidów, zwłaszcza że jeden z nich, rodzony brat Bolesława Pobożnego Krzyżan-Stracikwas, marzył sam o zdobyciu godności biskupiej, przeto nie zaniedbał żadnej sposobności, by świętemu Wojciechowi szkodzić, nie tylko osłabiając jego wpływ i znaczenie wśród ludu, ale także intrygując przeciwko niemu na dworze, w końcu nawet i w Rzymie. Intrygi te odnosiły pewien skutek, a biskupowi utrudniały pracę pasterską; to też św. Wojciech udał się do Stracikwasa i oświadczył, że gotów jest oddać mu swą władzę. Nieszczery Stracikwas udał, że nie przyjmuje tego zrzeczenia, nie mniej politykę swą prowadził w dalszym ciągu. Ale były inne jeszcze trudności — o wiele głębszej natury.

Oto za rządów poprzedniego biskupa rozluźniły się były obyczaje nietylko dworu książęcego, nie tylko ludności miasta Pragi, ale nawet duchowieństwa. Biskup Wojciech starał się zło wykorzenić, zrazu łagodną namową i kazaniami, następnie zaś surowymi upomnieniami i przestrogami. Zraził sobie tym niektórych członków domu panującego oraz innych panów, których karcił za pogański obyczaj wielożeństwa oraz za uciskanie poddanych. Zwalczał też rozpowszechnione naówczas w całym kraju pijaństwo tudzież wiążące się z tym marnotrawstwo i rozpustę. Największym jednak bólem i oburzeniem przejmowała go najcięższa ze zbrodni ówczesnych: sprzedawanie chrześcijan w niewolę żydowską. We śnie widział Chrystusa, który mu się skarżył, iż go znowu sprzedają na mękę za Judaszowe srebrniki...

(Dok. n.) JÓZEF BIRKENMAJER

HISTORIOZOFIA KAROLA MAURRASA

UWIĘZIONY od października za śmiałą interwencję publicystyczną przeciw antywłoskim sankcjom militarnym, które chciały zrealizować wszystkie międzynarodówki w okresie wojny abisyńskiej, Karol Maurras poświęcił przymusowe *loisirs'y* na opracowanie i wydanie w postaci definitywnej studiów o Joannie d'Arc, Ludwiku XIV i Napoleonie. Wydana u Flammariona książka „Jeanne d'Arc, Louis XIV, Napoléon" zawiera esencję historiozofii narodowej-nacjonalistycznej, ściślej mówiąc, bo wynikającej z doktryn politycznych bezkompromisowych nacjonalistów z *„Action Francaise"*, których Maurras od lat czterdziestu jest najwybitniejszym przedstawicielem. Maurras odkrywa przed czytelnikiem takie związki przyczynowe, podkreśla takie wydarzenia, które przez oficjalnych historyków, przez t. zw. *„universitaires"* są albo nieświadomie przeoczane, albo umyślnie przemilczane, ustępując miejsca gołosłownej zgryźliwej krytyce, albo wyolbrzymionym jako historyczne fakty anegdotom.

Całe studium o Joannie d'Arc przeniknięte jest myślą, że „w oddaleniu pół tysiąca lat te same uczucia, metody i doktryny mogą użytecznie służyć krajowi". Maurras jest zdania, że „mocne wartości moralne, trwałe i wyższe nad przemijające istoty żyjące, stwarzają narody, godne tego imienia". Joanna d'Arc, chcąc osiągnąć cel narodowy wskazany jej przez połączone z patriotyzmem uczucia religijne, mogła użyć innych haseł, metod i środków, niż te, których użyła. W tym „ewentualizmie", w tej możności wyboru i wybrania właśnie tych a nie innych haseł, dróg i środków ujawnia się myśl polityczna Joanny, „zasady" jej polityki, która okazała się zbawczą. Maurras wyjaśnia ożywienie się kultu Joanny d'Arc w naszym wieku zrozumieniem przez rozpoczynającą się reakcję narodową konieczności szukania nauk w dziejach narodu i skonstantowaniem, że osobowość narodu francuskiego jest dziś przy *régime'ie* ufundowanym na wielkorewolucyjnej ideologii, tak samo zagrożona jak za czasów, gdy następcę królów Francji nazywano *„le roi de Bourges"*, bo w Paryżu rządził cudzoziemski namiestnik. Joanna d'Arc, żyjąc między stosunkowo do jej czasów niedawną epoką Etienne Marcela i wybuchem antymonarchicznej opozycji z r. 1484, mogła zostać skłoniona do wołania o „jedność narodową" w postaci Stanów Generalnych, nie zaś do ukoronowania mało popularnego delfina Karola, syna obłąkanego Karola VII (ten wyjątkowy w dynastii Kapetyngów wypadek obłąkania monarchy nastąpił nie z powodu żadnego „obciążenia dziedzicznego", lecz od porażenia słonecznego, z przyczyny zewnętrznej) i zdradzającej Francję królowej Izabeli Bawarskiej. Jednak „Dziewica Orleańska" uznała za konieczność zjednoczenie przy reprezentancie dziedzicznego rozumu stanu; uznała to za nieodzowny warunek skutecznej walki i choć namawiano ją aby odłożyć koronację w Reims do czasu zdobycia Paryża, jeżeli nie do chwili „wepchnięcia Anglików w morze", to jednak przedewszystkiem doprowadziła narodowa bohaterka delfina do Reims, aby religia łącznie z prawem uświęciła symbol jedności francuskiej. Maurras podkreśla tę wolę Joanny d'Arc, która uważała, że akt polityczny musi być dokonany przed zakończeniem wojny, bo właśnie jego owocem będzie prawdziwa pacyfikacja. Hasło *„Action Francaise"* sformułowane w słowach *„Politique d'abord!"* znajdujemy już, stwierdza Maurras, w dziejach Joanny d'Arc. Godną jest także uwagi rzeczą, iż Joanna nie chciała wykoleić akcji odrodzenia przez uzupełnianie jej nowymi metodami, zachęcanie do niej radykalnymi hasłami społecznymi i gospodarczymi. Żadnych *„levée en masse"* Joanna nie organizowała, udała się do rycerzy, do seniora swojej wioski, nie próbowała podburzać mas włościańskich. Maurras wspomina, że stronna i złośliwa fantazja historiozofizujących polityków, wyznających ideologię wielkorewolucyjną, stara się suggerować, że „w naszych czasach" Joanna d'Arc byłaby republikanką; Maurras stwierdza, że „w jej czasach" zdrowy rozsądek zabronił jej zostać zwolenniczką poglądów parlamentarnych, republikańskich i demokratycznych które w XV wieku były rozpowszechnione daleko więcej, niż się wydaje panującej dziś opinii, która nie zna historii prądów ideowych, ani nawet historii *tout court*.

Dzieje Joanny d'Arc to synteza średniowiecza francuskiego, krzepnięcia narodu w państwie narodowem; wiek Ludwika XIV to okres kwitnięcia i ekspansji, to *„la saison des fruits"*, które ostatecznie dojrzeć mogły dzięki samemu Ludwikowi XIV-mu. Jako król, ogniwo dynastii, był Ludwik królem z urodzenia, lecz jako Król-słońce był on, używając wyrażenia użytego przez Maurrasa, jakby *self-made-man*. Każdy monarcha francuski „urabiał się", wchodził w ramy tradycyjnej instytucji i związanego z nią światopoglądu, ale jednocześnie przystosowywał reprezentowane przez siebie odwieczne zasady do swojej epoki. Takiej pracy dokonał także Ludwik XIV i, dzięki wrodzonym skłonnościom oraz uzdolnieniom, dzięki koncentracji za jego panowania elementów długiego procesu historycznego, stał się on syntezą i symbolem narodu i państwa francuskiego.

Ludwik XIV pojmował sam siebie jako ogniwo z łańcucha przedstawicieli narodowych instytucji tradycyjnych; nie chciał być jakimś wybuchem, wyjątkiem, człowiekiem, który sam zaczyna i sam kończy. Maurras przypomina zdanie wypowiedziane przez konającego Ludwika: „Ja odchodzę, ale Państwo zostaje". To zdanie nie jest przytaczane w „klasycznych" pracach różnych *„universitaires"*, którzy za to stale przytaczają nigdy nie wypowiedziane, ani nie napisane przez Ludwika XIV-go zdanie: *„L.Etat c'est moi"*. Ludwik XIV „był w porządku" dziejów Francji", inaczej niż Napoleon, postać *hors cadres*. W przejrzysty, odrazu wyjaśniający sposób przedstawia Maurras politykę wielkiego króla.

Dowcipnym wynalazkiem prof. Lavissę'a było przeciwstawienie Colberta i Louvois, których rywalizacja miała świadczyć o nielogiczności i braku talentów koordynacyjnych u króla. Colbert był wielkim organizatorem i *animateur'em* życia Francji zamkniętej w sobie, żyjącej dla siebie; jednak dlatego, aby bogata dzięki Colbertowi Francja nie

stała się ponętnym łupem sąsiadów, potrzebna była wielka, dobrze zorganizowana i czujna armia. Gdyby *regime* był inny obaj ci znakomici ministrowie rozdzieraliby kraj swą rozterką, swoimi niby przeciwstawnymi programami; dzięki monarsze uzupełniali się, syntetyzowała się na korzyść Francji ich akcja, pomimo ich osobistej do siebie niechęci. Napoleon dyktując swoje refleksje na wyspie św. Heleny usprawiedliwiał swoje wojny, których z punktu widzenia narodowo-francuskiego usprawiedliwić nie można, niejasnymi względami ogólno-ludzkiemi; Ludwik XIV umierając wyrażał żal z powodu wojen, które prowadził, ale wszystkie wojny Ludwika XIV były uzasadnione przez konieczność narodową. Maurras zwraca uwagę na to, że dziadek króla-słońca wstąpił na tron, gdy w Paryżu znajdowała się załoga hiszpańska, a dzięki wojnom Ludwika XIV wnuk jego zasiadł na tronie Hiszpanii, okrążenie Francji istniejące przez dwieście lat zostało nazawsze unicestwione. Ludwik XIV nie był militarystą, w mundurze nie chodził, w czasie wojny o sukcesję hiszpańską na froncie nie dowodził, ale przypomina Maurras, że gdy była najgroźniejsza chwila, wówczas król, posyłając marszałkowi de Villars swoje wskazówki co do operacji militarnych, oświadczał, że jeśli przewidywana bitwa zakończy się niepomyślnie, to zbierze resztę wojska pod swoim dowództwem i albo zginie razem z nim, albo ocali państwo. „Bo nigdy nie pozwolę, kończył Ludwik swój list, aby nieprzyjaciel zbliżył się do mojej stolicy". Nie trzeba było, na szczęście, takiej ostateczności, bo, kierując się instrukcjami przysłanymi mu przez króla z Wersalu, marszałek de Villars wygrał bitwę pod Denain, zmieniając przez to losy wojny. Inaczej było z dziedzicami wojen rewolucyjnych, Bonapartymi. Rządy każdego z nich zakończyły się wejściem wrogów do Paryża; wprawdzie Napoleon III został wzięty do niewoli po walce i wśród swojej armii, ale jego stryj raz zostawił całą armię na skwarze egipskim, sam spiesząc schwytać koło uśmiechającej do dyktatora fortuny, a potem kilkaset tysięcy liczące „resztki" swoich wojsk porzucił w śniegach i mrozach, aby wróciwszy do Francji formować bataliony z piętnastolatków.

Za Ludwika XIV i dzięki niemu rozpoczął się pokojowy podbój Europy przez cywilizację francuską, jako najlepszy wyraz, opartej na elementach grecko-rzymskim, chrześcijańskim i monarchicznym, cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Maurras z oburzeniem podkreśla, że w szeregach pisarzy oczerniających Ludwika XIV wkrótce po jego śmierci znaleźli się najwybitniejsi autorowie XVIII-go wieku; i Voltaire do nich należy, bo nie jest bynajmniej na cześć króla — słońca napisany „*Le siècle de Louis XIV*", i Montesquieu, którego niewybredne ironie miały na celu poniżenie ustroju francuskiego w porównaniu z ustrojem nadanym Anglii przez zwycięstwo protestanckiej i masońskiej frondy arystokratycznej (pamiętajmy, że kierownicy prądów umysłowych we Francji XVIII-go stulenia byli masonami, zob. Faij „*La franc-maçonnerie et la révolution intellectuelle du XVIII-me siècle*").

Na omawianą przez nas książkę Maurrasa, pod tytułem „*Jeanne d'Arc, Louis XIV, Napoléon*" księgarz włożył opaskę, na której trzykrotnie powtórzono „*France, France, France.*" Według samego autora jednak tylko Joanna d'Arc i Ludwik XIV to była Francja. Nie służył Francji i nie przedstawiał jej Napoleon, który tylko posługiwał się nią. Bonaparte umożliwił trwanie rewolucji, kontynuowanie jej w systemie pokojowym i w organizacji opartej na rewolucyjnych zasadach. Jeden z rozdziałów o Napoleonie zatytułował Maurras: „*De Napoléon à Lénine.*" Państwo oparte na ideologii wielkorewolucyjnej postawiło tak samo bezpośrednio naprzeciw siebie masy zniwelowanych jednostek jak to zrobił bolszewizm w Rosji. Rodzina, stowarzyszenia, indywidualizmy regionalne zostały przyduszone w myśl modnych doktryn, które rozdrażniły cały kraj. Pożądana może na krótki czas interwencja Bonapartego przedłużyła rewolucję na okres przeszło stuletni. Bezużyteczne wojny rewolucyjne i napoleońskie pochłonęły setki tysięcy ofiar, ale Maurras podkreśla, że gorsze skutki dla żywotności narodu francuskiego ma kodeks cywilny, dzięki któremu miliony się nie narodziły. Przytacza Maurras słynne oskarżenie kodeksu sformułowane przez Renana: „Ten kodeks został ułożony dla jakiegoś idealnego obywatela, urodzonego jako podrzutek i umierającego w stanie bezżennym; ten kodeks czyni wszystko dożywotnim, dzieci przy nim są ciężarem dla ojca, każde trwałe dzieło zbiorowe jest zabronione, wszystkie jedności moralne są rozdzierane z jedną śmiercią. W myśl tego kodeksu człowiekiem przezornym jest egoista, który stara się mieć jaknajmniej obowiązków, mężczyzna i kobieta są rzucone na arenę życia w tych samych warunkach, własność jest pojęta nie jako rzecz moralna, lecz jako równoważnik używania określonego w pieniądzach." Maurras stanowczo zwalcza tezę popularną w oficjalnej nauce historii, że centralizm i imperializm rewolucji i cesarstwa kontynuowały politykę królów. Monarchia narodowa z czasów t. zw. *ancien regime*'u jednoczyła Francję, ale zachowywała wszystkie organizmy między jednostką a państwem: rodzinę, prowincję, organizacje zawodowe; na tych pośrednich ugrupowaniach wspierała się monarchia tradycyjna, bez nich żyć nie może, jak tego dowiodły nieszczęśliwe kompromisy za czasów Restauracji. Co do ekspansji międzynarodowej to królowie francuscy robili tylko to, co było konieczne, najlepszym tego dowodem są wojny hiszpańskie Ludwika XIV porównane z hiszpańskimi wyprawami Napoleona. Francja była silna przez swoją różnorodność; niwelacja rewolucyjna, demokratyczne zatomizowanie otworzyły Francję cudzoziemcom i awanturnikom, przede wszystkim żydom. Żydzi odpowiadali głównym potrzebom chwili jako głosiciele starej kusicielki ludzi — anarchii równościowej, jako przedstawiciele ducha marxistowskiego, kującego nieznane w dziejach formy tyranii, jako związek wśród chaosu utrzymujący się przez solidarność krwi. Refleksje Maurrasa wyjaśniają zjawiska historyczne z olśniewającą bystrością. Cierpkie uwagi oficjalnych, uznanych pisarzy o traktatach wiedeńskich z 1815 potępia Maurras przez proste skonstantowanie, że przedtem były traktaty z r. 1814, które które były właściwym zamknięciem prawie ćwierćwiekowego okresu wojen. Po-

wrót Napoleona z Elby przewrócił misterne konstrukcje Talleyranda działającego w myśl instrukcji Ludwika XVIII, w 1815 roku traktaty mogły być jeszcze niekorzystniejsze, gdyby nie Bourbonowie; król Francji nie był stroną zwyciężoną, monarchowie państw koalicyjnych zwyciężyli Napoleona, lecz Bourbon miał od nich wyższy stopień w hierarchii porządku legitymistycznego, jego prawo było fundamentem praw innych władców.

Maurras nie jest historykiem zawodowym, ale czy z tego powodu jego historiozofia jest mniej pewna i godna uznania niż historiozofia Lavisse'a, Aularda i in. „*universitaires*." Przedstawiając związek przyczynowy zjawisk historycznych, wyjaśniając ich wpływ na czasy niedawne, nawet dzisiejsze, każdy historyk staje się politykiem z epoki, którą omawia. Więcej przygotowania do budowania zbliżonej do rzeczywistości kostrukcji historycznej ma taki „publicysta" jak Maurras, lub Bainville niż znawcy paleografii, dyplomatyki i innych specjalnych gałęzi wiedzy historycznej. Na wszystkie wielkie, a nawet mniejsze, wydarzenia historyczne istnieją przynajmniej dwa sprzeczne poglądy. Historykom wieku XIX-go udało się wcześniej zbudować system logicznie wyjaśniający przyczyny i potrzeby Wielkiej rewolucji; dopiero później, po Thiersie, Michelet'cie i Henri Martin'ie powstała kontrrewolucyjna nauka historyczna, której założycielami byli ludzie uczciwi i bez namiętności politycznych: Fustel de Coulanges i Taine. W czasie Wielkiej rewolucji odbywała się na wielką skalę fabrykacja fałszywych źródeł historycznych, fałszywych pamiętników, listów, enuncjacji. Thiers i Michelet, a potem Aulard korzystali bezkrytycznie albo niedość krytycznie z fałszerstw Soulavie'go i L. de la Vicomterie. Zresztą nietylko historycy urobili oficjalne poglądy historyczne obejmujące nietylko ostatnie półtorawiecze lecz również średniowiecze i czasy nowe. Lamartine i Victor Hugo, Dumas i Walter Scott są właściwymi inspiratorami urzędowej historiozofii francuskiej. Czy historiozofię zapoczątkowaną przez Fustel de Coulanges'a i Taine'a, kontynuowaną przez akademika Louis Bertranda, Maurrasa i Bainville'a można nazwać „rewizjonizmem" publicystów, z którym można się godzić, albo nie godzić?... Historycy masońscy (Thiers, Lavisse, Aulard), protestanccy (Monod), przybysze żydowscy, którzy włamali się do francuskiego świata intelektualnego dzięki katastrofie wielkorewolucyjnej (Sée, Halphen, Cohen), bonapartyści (Masson, Vandal, Madelin), romantycy (Michelet, Lamartine), robespierryści (Mathiez) nie są przedstawicielami historiozofii bardziej usprawiedliwionej i bezstronnej niż wskazani wyżej Taine i Fustel, niż ich poprzednicy Capefigue i Mortimer-Ternaux i ich następcy de Nolhac, Funk-Brentano, de la Gorce, Cochin, Faij i Gaxotte. Jeżeli Maurras idzie drogą ostatnio wymienionych, to nie jest przez to stronniejszym publicystą-historykiem niż żydzi Zweig, Maurois (Herzog), Ludwig, którzy idą w ślady Micheleta, Lavisse'a i Aularda. Historycy ze szkoły Taine'a nie otrzymali formalnej wysokiej rangi w świecie naukowym dla tego, że uczciwość i odwaga intelektualna zabraniała im pogodzić się z popierającymi obecny *régime* poglądami historycznymi; jeśli Maurras nie jest członkiem Akademii francuskiej, Gaxotte profesorem uniwersytetu, a Bainville nie był ministrem, to dlatego, że wyrzekli się oni wielkich karier, aby wypowiadać zdania potępiające *régime*, ale odpowiadające ich sumieniu i zmysłowi krytycznemu. Pisarze polityczni, tej miary co Maurras, nie robią odkryć, badając nieznane dokumenty i inne pomniki przeszłości, lecz ponieważ „wszelkie pragmatyczne badanie historyczne jest jednocześnie politycznem" (J. Jellinek), więc są nawet bardziej uzdolnieni do rozumienia procesów historycznych i stosowania przysłowia, że „historia jest mistrzynią życia", niż specjaliści traktujący dzieje bądź *quasi* rzemieślniczo, bądź w myśl mniej lub więcej świadomych osobistych skłonności politycznych.

LESZEK GEMBARZEWSKI

HORACY.

NA ŹRÓDŁO BANDUZJI

O fons Bandusiae, splendidior vitro!

Jasne źródło Banduzji, moją zdobiące włość!
godne wina i kwiatów! W darze, ubogim dość,
przyjm koziołka, któremu
pierwsze różki zaczęły rość!

Hej napróżno się jemu bójki miłosne śnią!
Oto jutro już bowiem zimną krynicę twą
mój swawolny koziołek
zbroczy ciepłą, rumianą krwią!...

Srogi żar kanikuły stroni od twoich wód,
nawet w dni najgorętsze niesiesz przemiły chłód
wołom w pługu strudzonym
oraz stadom błądzących trzód.

Kiedyś i ty przydomek zyskasz: „*nobilis fons*"
za to, żem tu opiewał grotę i smukły wiąz
w skałach, kędy twe zdroje
z szumem wiodą wesoły pląs...

Przełożył J. B.

NA WIDOWNI

Dyskusja o schludności.

PRZYSŁUCHIWAŁEM się niedawno rozmowie towarzyskiej o tem, co jest w literaturze t. zw. nieprzyzwoitością. Wiele mówiono o realizmie, naturalizmie, szczerości artystycznej, wolności, o nowym człowieku w nowych czasach, o życiu świadomym, o życiu ułatwionym, o przesądach, o bibliografii nieprzyzwoitości ks. Pirożyńskiego i tp. Rozbiła się tu bania filozofii, estetyki i erudycji literackiej, jak o kamień, o skromne zapytanie wychowawcy, co robić z dziełem literackim, którego nie można dać do ręki młodzieży nie zepsutej jeszcze obyczajowo.

Mówiono o powieści, gdzie pełno studiów nad życiem seksualnym na podstawie własnych autora i cudzych przeżyć. Rzecz pisana sprytnie. Autor każdej chwili może się legitymować jako wychowawca ostrzegający, w każdym razie jako artysta, któremu „prawda" nie daje spokoju i musi ją wypisać. Ale czytelnik jest też sprytny: tłumaczy się przed sobą i innymi, że czyta ze zgrozą, ale musi znać prawdę. Obie zaś strony — i pisząca i czytająca — oddają się dziełu z uciechą fizyczną.

Jest faktem, że najwyższy dar cywilizacji, sztuka, korzysta ze smutnego przywileju dowolności obyczajowej, ona jedna ma prawo robić wyłom w kodeksie towarzyskim, ona jedna ma prawo wszczynać w przyzwoitym gronie rozmowy pornograficzne i dawać początek głębokim przewrotom w stosunkach obyczajowych i etycznych.

Czy to jest normalne, czy konieczne? A jeśli złe, to dla czego? Możebyśmy o tej tak bardzo aktualnej sprawie trochę pogwarzyli...

— — — — — — — — — — — —

Nikt nie zaprzeczy, że dążenie do postawienia życia na stopie pewnej schludności należy do motywów dodatnich kultury. Określenie „schludność" należy właściwie do słownictwa higieny, ale zastosowanie ma ono szersze i głębsze. Człowiek bowiem, gdy raz wejdzie na drogę dyscyplinowania swego życia, nie może rozgraniczać swojej czujności i swoich nałogów na dwa niezależne od siebie światy: ducha i ciała. Kultura obyczajowa, polegająca na automatyzowaniu typowych czynności, związanych ze sposobem bycia, dąży do wytworzenia w człowieku pewnego stylu. W miarę jak ten styl pogłębia się w życie duchowe, staje się on jego charakterem. W kulturze gruntownej potrzeba schludności zewnętrznej łączy się ściśle z potrzebą czystości wewnętrznej.

Nie komplikujmy tego zjawiska zagadnieniami etyki. Wystarczy nam w poruszonym tutaj zagadnieniu kwestia zachowania i podnoszenia stopy „bycia", tłumacząca się w sposób wystarczający potrzebą doskonalenia warunków egzystencji. Każdy krok, uczyniony postępowo w tym kierunku schludności, poprawności i przyzwoitości, jest krokiem ku ideałowi doskonałości, dążeniem wielkiego znaczenia osobistego dla człowieka i ogólnego dla społeczeństwa.

Życie obyczajowe ustala się w swoim typie według poziomu, na którym płynie nurt danej warstwy. Nie wkraczając na pole wykładów z etnologii, wskażę tylko na to, że w każdej sferze czy to ludowej na wsi, czy mieszczańskiej, czy szlacheckiej we dworach prawo postępu obyczajowego jest to samo, polega mianowicie na dążeniu do schludności.

Wszędzie człowiek ucieka od widma anarchii obyczajowej i dąży do tego poziomu, gdzie panuje rygor, polegający na przestrzeganiu poprawności.

Klasyczne pod tym względem wzory widzimy u chłopów, gdzie ideałem jest styl domu „gospodarza", to samo widzimy w miastach, gdzie zachowały się tradycje starych rodzin mieszczańskich. Dla całego świata polskiego wzorem była kultura obyczajowa dworu szlacheckiego, wywierająca niemały wpływ na rozwój tamtych dwu typów.

Oczywiście wraz z przemianami w ustroju społeczeństwa, tak szybko w ostatnich lat dziesiątkach następującymi, ulega też kryzysom styl obyczajowy różnych warstw. Okoliczność ta budzi wielkie nadzieje wśród tych czynników dziejowych, które dążą do przewrotu w całym ustroju i wiele sobie zakładają na rozbiciu psychiki, tej siły twórczej, tak skłonnej do zachowania dziedzicznego stylu. W powszechnym więc pośmiewisku jest z tej strony przywiązanie do dawnych form obyczajowych, zwłaszcza na punkcie obyczajności.

Mamy dość poczucia rzeczywistości, szukającej nowych form, żeby o „formę" nie płakać, ale stanowczo bronić się musimy od tych, co nastają na psychikę Polaka, aby się wyrzekł w zakresie kultury owej zasadniczej dążności do życia schludnego. Od wieków robiono z tego zarzut żydom, że psują ten dobry instynkt rasowy Ariów.

Co innego dążyć do zmiany form, co innego psuć naturę ludzką. „Bo narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból". Popsuć w sobie zmysł czystości, to wogóle zejść z drogi rozwoju.

Postęp obyczajowy, etyczny i społeczny zawisł nie od „form", lecz od sił wewnętrznych człowieka. Trzeba je utrzymymać w tym stanie, aby były zdolne do tworzenia, a więc szanować w nich takie proste popędy, jak dążenie do stanu doskonałości. Owe siły wewnętrzne, działając od głębi, nadają życiu formy. Po tym się poznaje fałszywych reformatorów, że zaczynają od tępienia w człowieku sił twórczych takich najgłębszych, jak religia, poczucie wstydu.

— — — — — — — — — — — —

Człowiek dzisiejszy preparowany po żydowsku (jak szczupak) uważa się za tak przemądrzałego, że mu te żywe prawdy nie wystarczają — on jest całkiem „nowy człowiek". Prawdy te podaje on za „morały", niegodne ludzi uświadomionych, dążących do „życia ułatwionego". Cóż łatwiejszego, jak wyśmiać prawo czystości! Ale na to potrzeba ukryć przed ludźmi elementarz nauki o człowieku tak, jak to zrobił bolszewicki materializm dialektyczny.

Elementarną prawdą, którą człowiek o sobie wiedzieć powinien, jest to, że Pan Bóg dał mu duszę, a potem że ta jego duchowość misję swoją poczyna od walczenia z ciałem o jaką taką dla siebie autonomię. Wyczuwa ona przed sobą wielką drogę rozwoju, pomoże sobie w tem dziele specjalną pracą kulturalną, ale pracą elementarną od której duch poczynać musi, jest wyemancypowanie się z niewoli cielesnej. To jest pierwszy popęd ku wolności.

Ci, co za kres swej kariery ludzkiej uważają swoją „niepodległościowość", powinni w jakiś

sposób związać mentalnie swój szlak z tą wielką drogą, jaką człowiek przebywa przez wieki ku ideałowi wolności. Czy rozumie, co jest wolność i jaki jest jej związek z prawem twórczości?

Otóż człowiek już w instynktach ma poczucie, że służy mu prawo tworzenia odrębnego w stosunku do przyrody, ludzkiego świata. Potrzebna mu do tego wolność ducha. Świat swój tak urządzać musi, aby pomocny był rozwojowi ducha zarówno w jednostce, jak i w skupieniu narodowym, które jednostkę wykształca. Pierwszym hasłem człowieka jest odróżnić się od zwierzęcia, żyjącego tylko zmysłami cielesnymi — i to jest pierwsza litera abecadła w nauce o człowieku, stosowana już przez ludzi na tych szczeblach, gdzie jeszcze nie znane bywa hasło twórczości świadomej: wszystko z ducha i dla ducha.

Nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, że to nie pomysł moralistyczny, ani wymysł jakiejś specjalnej filozofii idealistycznej. To jest fakt, że cały byt, tworzony przez człowieka, jest wytworem duchowym i że cała budowa tego ludzkiego świata tym lepiej postępuje i trzyma się, im większy jest wkład ducha, wyzwolonego z zależności od popędów czysto zwierzęcych. Człowiek, nawet nieświadomy przyczyn tej sprawy, tak sobie ceni każdy krok oddalający go od pierwotności, że dąży do ustalenia obyczaju na zdobytym wyższym poziomie, utrwala z szacunkiem w pewnych formach obyczajowych wszystko to, co już jest odczynione z pierwiastków pospolitości i nosi znamię wyrobu duchowego.

Bo to jest wyrób, do którego się dochodzi przez powściąganie popędów czysto zmysłowych i robienie miejsca dla stosunków regulowanych wolą, poczuciem religijnym, społecznym i estetycznym. Na takim tle zarysowuje się obyczaj towarzyski, jako pewnego rodzaju konwencja. Kieruje nim poczucie estetyczne do tego stopnia, że niweczy w człowieku dowolność zachowania się nawet w stosunku do siebie samego.

Estetyczną stroną tego nałogu obyczajowej konwencji jest schludność przede wszystkim, połączona ze wstydliwością, na punkcie spraw czysto cielesnych. Człowiek przyzwoity o nich nie mówi. Taki człowiek nazywa się „dystyngowanym” nie dla czego innego, tylko dla tego, że się wyróżnia (łac. *distinguo*) poprawnością, że „poprawił” po ludzku naturę.

Tak człowiek szczebluje, bo kieruje nim jakiś mus dźwigania się w górę, wykuwa, jak taternik w skale, stopnie obyczaju, na którym się wsparłszy, zdobywa pewność, że nie zleci w błoto z powrotem i siły swe swobodnie poświęci myśleniu o drodze dalszej.

Ten pierwszy szczebel, który wyrywa człowieka z pierwotności zmysłów jest bodaj najważniejszy i dla tego w wychowaniu nie można go lekceważyć. Od niego zależy dalsza droga wzwyż.

> A droga taka jest na wieże życia,
> Że wiele szczebliów idzie coraz wiotszych,
> Jaśniejszych, coraz przezroczystszych, złotszych
> Jak różne sny, różne serca bicia...

Im wyżej, tem zawrotniej, ale to sobie przynajmniej winien człowiek, aby się z „kału”, którym Norwid zmysły mianuje, podźwignąć. Niech nam nie prawią, że można szczyty zdobywać niechlujną duszą w wynajętym aeroplanie. Trzeba je zdobywać od podnóża, krok za krokiem kultury, poczynając od obyczajowej.

— — — — — — — — — — — —

Jakże patrzącemu na świat z tego stanowiska przedstawia się powieść pornograficzna i wogóle powieść, rażąca dobry smak obyczaju?

Przede wszystkim jest nieestetyczna. Najtrudniej ludziom się pogodzić w sprawach dobrego smaku. *De gustibus* — powiadają — nie warto gadać. Ale chyba na jedno się zgodzimy, że to dla wszystkich jest piękne, co ma w sobie posmak duchowości. Nawet w przyrodzie, nawet w rzeczach martwych to uznajemy za piękne, co we wrażeniu daje się przełożyć na mowę ducha ludzkiego. Stąd autropomorfizm — pogląd na rzeczy czysto estetyczny, stąd panteizm jako myśl filozoficzna. Stąd „mowa” kwiatów, architektura gór, stąd pejzaż, jako obraz malowany przez artystę.

Odwrotnie wszelka sytuacja ludzka, w której nie ma śladu działania ducha, polegająca jedynie na funkcji fizycznej, budzi w oglądaniu obrzydliwość. To że obrzydliwość podana w książce może być ponętna, to nie wynika z działania estetycznego; to zupełnie inna dziedzina wzruszeń, to jest surogat mentalny przeżyć fizycznych, podniecanie zmysłów przez wyobraźnię, nie mające nic wspólnego ze sztuką, chyba jako jej nadużycie.

Dobry artysta poczytuje za cynizm wszelki realizm nie przeniesiony na pole duchowości, jako wykładnia znaczenia duchowego opisywanych rzeczy (Norwid), a cóż dopiero realizm bez żadnej linii duchowej. Ze wstrętem nazwie to kuplerstwem, albo nurzaniem głowy w kale.

To jest nadużycie tego Słowa, które było na początku świata przez ludzi tworzonego i rzuciło światło na drogę realizacji spraw ducha.

Książka w tym świetle jest dużej wagi sprawą społeczną. Weźmy ją—bo już brak miejsca—tylko ze strony towarzyskiej. Jaki my właściwie mamy obowiązek puszczać do swego domu gości nieobyczajnych? Tak z prosta trzeba zapytać. Przestrzegamy skrupulatnie ustalonych obyczajów. Nikt z nas w towarzystwie nie wypowie słowa sprośnego, nikt się nie obnaży nikt przy świadkach nie spełnia funkcyj fizycznych, a tu naraz zjawia się autor, witany, jako zwiastun rzeczy z wyższego świata niż nasz, który zachowuje się jak uliczny sutener. Dama z towarzystwa pisze powieść taką, że byłaby wyproszona z przyzwoitego domu, gdyby jedną scenę ze swej powieści opowiedziała gościom, siedząc na kanapie. Czytałem niedawno powieść kobiecą, gdzie w kilku rozdziałach osiem razy uczestniczymy jako świadkowie w aktach miłosnych, połączonych z rozbieraniem. Takie dzieła są nagradzane. Laur za temperament... pisarski!

Moje zdanie jest takie: pisarzom odebrać trzeba zdobyty prawem kaduka przywilej eksploatowania słabości ludzkiej, niszczenia osiągniętych podstaw obyczajowych, deprawowania dobrego smaku, chlapania błotem. Pisać wolno tylko to, o czem bez zarumienienia można rozmawiać w kole ludzi przyzwoitych, ceniących swoją schludność.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEPRZYZWOITOŚĆ

W ostatnim zeszycie „Merkuriusza“ ze zdziwieniem wyczytałem takie zdanie:

„Pan Zygmunt Wasilewski w „Myśli Narodowej“, (który teraz milczy jak zaklęty) napisał, że wstąpienie Sienkiewicza do masonerii wywołane było względami oportunistycznymi. Zdaniem p. Wasilewskiego Sienkiewicz... wstąpił do loży“...

Oświadczam, że nigdy i nigdzie o należeniu Sienkiewicza do loży masońskiej nie pisałem, i że wmawianie mi takiej rzeczy uważam za kłamstwo, popełnione dla celów, nie mających z publicystyką nic wspólnego.

Czasopismo to już poprzednio usiłowało wymusić na mnie jakąś w tym kierunku rewelację. Lojalnie wyjaśniłem (nr. 49 „Myśli Narodowej”), że poruszyłem niektóre szczegóły z życia Sienkiewicza nie dla robienia plotek, lecz dla wyjaśnienia bardzo ważnej okoliczności, dla czego Sienkiewicz nie mógł odegrać należytej roli politycznej w czasie wojny. Kierowałem przy tym uwagę na rolę, jaką w tej sprawie odegrał Askenazy. Ta jedynie ważna dla mnie strona zagadnienia wcale nie interesuje publicysty „Merkuriusza”, chodzi mu o plotkę, czy Sienkiewicz należał do loży. Gniewa go, że „milczę jak zaklęty” i nie mogąc się doczekać rewelacji z mojej strony, robi ją za mnie.

Zapewne w akcji swojej, w ten sposób prowadzonej, ma jakiś swój cel. Wszyscy wielcy pisarze byli i są masonami — oto teza, którą trzeba wbić ludziom do głowy, aby stępić opinię o szkodliwości masonerii. Zastrzegam się jednak przeciwko nadużywaniu w tej akcji mego nazwiska i napiętnować muszę ten manewr, jako nieprzyzwoitość.

Z. W.

MASONERIA W POLSCE

Bardzo ciekawą informację podaje Kat. Agencja Prasowa w nrze 115 z 2 maja:

Organ związku rad najwyższych masonerii obrządku szkockiego „*The New Age*” z lutego i marca r. b. publikuje sprawozdanie z wizyt, jakie złożyli bratnim lożom w Europie dwaj Amerykanie John Cowles i William Moseley Brown, przedstawiciele lóż masońskich w Stanach Zjednoczonych. Pp. Cowles i Brown odwiedzili loże rytuału szkodzkiego w Anglii, Polsce, Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Austrii i na Węgrzech. Loże masońskie obrządku szkockiego w tych krajach należą do związku światowego rad najwyższych masonerii. (Opis wizyty dygnitarzy masońskich w Polsce KAP podaje za „*Revue Internationale de Sociétés Secrètes*” zeszyt majowy rb):

„Wielki komandor Cowles i dr Brown przybyli do Warszawy 9 grudnia 1936 r. Na dworcu powitali ich wielki komandor Stanisław Stempowski i wielki sekretarz generalny Zbigniew Skokowski.

Tego samego wieczoru najwyższa rada Polski podejmowała ich w gmachu, w którym mieści się państwowa dyrekcja lasów (*les services forestiers du gouvernement*). Ten fakt — jak notuje The New Age znamionuje dokonany postęp, gdyż w latach poprzednich tego rodzaju zebrania mogły się odbywać tylko w mieszkaniach prywatnych Braci Masońskich.

Polscy Bracia Masońscy nie mają statutu legalnego. Tym niemniej kilka lat temu mieli w projekcie budowę świątyni (temple), lecz kryzys i wrogość antymasonów zmusiły „braci” do odłożenia realizacji tego projektu. Oświadczyli oni, że jak największa ostrożność tu jest konieczną. gdyż interesy ich byłyby narażone, gdyby charakter ich masoński został ujawniony.

Najwyższa rada Polski została utworzona w r. 1922 przez najwyższą radę Italii. Miała okres wzmożonej działalności, gdy na czele jej stał pisarz Andrzej Strug. Dziś liczy 16 członków.

10 grudnia wieczorem goście amerykańscy uczestniczyli w uroczystem posiedzeniu loży „Kopernik”, loży-matki w Polsce. 11 grudnia wielki sekretarz Skokowski udał się z nimi do Krakowa, gdzie zwiedzili tamtejsze loże. Jeden z członków tego „warsztatu” (atelier) „brat” H. Gliwic umyślnie przybył z Paryża, ażeby wziąć udział w przyjęciu.

Polacy szczycą się ze składu swego Zakonu masońskiego. Należą do niego: jeden książę, jeden były ambasador, 5 byłych ministrów, jeden ex-duchowny i wielcy przemysłowcy. Pozycja osobista tych „braci” sama przez się tłumaczy, dlaczego 400 ludzi, należących do 11 lóż, wywiera taki wpływ w kraju”.

HISZPANIA BOHATERSKA

W CZWARTEK dn. 20 b. m. o godz. 20 w sali Tow. Higienicznego przy ul. Karowej red. J. Giertych wygłosił odczyt o Hiszpanii narodowej, oparty na bezpośrednich wrażeniach i notatkach z odbytej niedawno podróży.

Rozpoczął prelegent od wspomnienia z okresu pamiętnych wyborów do łódzkiej Rady miejskiej na jesieni ub. r., gdzie w rozmowie z jednym z robotników usłyszał charakterystyczne zdanie, iż — front hiszpański przebiega nietylko przez linię Quadalajara ale i przez naszą ulicę Piotrkowską—dowód wielkiej wagi dla Europy i świata wypadków za Pirenejami.

Niestety, przez 10 miesięcy trwania zawieruchy pozostajemy wyłącznie pod obstrzałem informacyj prasowych „czerwonego frontu”, tendencyjnych, często wprost kłamliwych.

Nic dziwnego, że w naszem pojęciu wytworzył się jednostronny obraz dalekich wypadków, jakże nieraz odległy od istotnej rzeczywistości. Wypaczają ją zarówno depesze prasowe korespondentów własnych jak i komunikaty urzędowe, fabrykowane przez wielkie agencje, pozostające pod wyraźnemi wpływami żydów: Havasa i Reutera. Sam Madryt, do niedawna stolica czerwonych a i dziś jeszcze ważny ośrodek nerwowy kraju, posyła swoje wiadomości w świat znacznie prędzej, obficiej i skuteczniej, niż to uczynić jest w stanie Salamanca, niż to czynić mogło ubogie, prowincjonalne Burgos. Dlatego tak wielką wagę przywiązuje prelegent do swojej „wizji lokalnej“: był tam 17 dni i znajdował się bezpośrednio w linii walczących na froncie narodowców hiszpańskich aż w 3-ch punktach—na przedmieściach zdobywanego Madrytu, w Toledo i w starożytnej Kordobie. Rozmawiał z wieloma, przypadkowo napotykanymi ludźmi, celowo i świadomie nie polegając na urzędowych informacjach, starał się dotrzec do przeciętnego, „szarego” przechodnia i współtowarzysza podróży koleją. Wytworzył sobie obraz północy i części południa Hiszpanii na podstawie dużej ilości codziennych kontaktów i improwizowanych wywiadów. Doszedł do przekonania, że jest ona bezwarunkowo inna, niż nas informują gazety, jest to Hiszpania bohaterska, od dwuch stuleci znajdująca się na ostatniem miejscu w Europie, dziś wysuwająca się znowuż na czoło.

Należy przygwoździć kłamstwa czerwonych — oto ich próbki:

3-go maja czytaliśmy—wojska czerwone zbliżyły się na 1 klm. od Toledo, tymczasem prelegent był 13 kwietnia w Toledo i widział linię frontu w tej samej odległości. — 1 klm. Ofensywy nie było wcale.

Podobnie—Irun miał być rzekomo zburzony przez artylerię narodowców. W rzeczywistości został metodycznie zniszczony, głównie spalony — polewano budynki benzyną

i naftą przy pomocy hydrantów strażackich—przez uchodzących czerwonych, co stwierdzali zapytywani mieszkańcy Irunu, obecnie nieszczęśliwi pogorzelcy. Większe i masywniejsze gmachy wprost powysadzano dynamitem.

To samo da się powiedzieć o Maladze, Durango oraz Quernica.

A teraz — sprawa bombardowania lotniczego, czem obarcza narodowców hiszpańskich prasa lewicowa, u nas „Robotnik", podając listy ofiar z pośród osób cywilnych, kobiet i dzieci oraz ich fotografie.

Rzecz zrozumiała, na terenach objętych pożogą wojny ginie moc ludzi cywilnych od kul i pocisków obydwu stron walczących i to jest „normalne" (w cudzysłowie) dla każdej takiej zawieruchy. Natomiast zupełnie inny posmak ma fakt celowego bombardowania z samolotów szpitali, czem mocno zabazgrali własne sumienie (jeśli je wogóle kiedykolwiek mieli) czerwoni. I tak w okresie 1—6 kwietnia padło 6 szpitali, np. w Kordobie zrzuconych zostało 10 bomb na jeden szpital z czego 8 trafiło. Red. Giertych miał sposobność rozmawiać z chorym, który został ranny w głowę odłamkiem właśnie w czasie operacji i z lekarzem, świadkiem niezwykłago zdarzenia,

Gdy mowa o cięższych gatunkowo fałszach czerwonych z dziedziny politycznej, należy stwierdzić, że po stronie narodowej walczą wyłącznie wojska hiszpańskie. Nie spotyka się i niemożliwem byłoby wprost odnaleźć wojskowego w obcym mundurze. To samo na bliskich i głębokich tyłach: co drugi nieomal młody człowiek z pośród społeczeństwa hiszpańskiego jest ranny, co druga matka w grubej i ciężkiej żałobie.

Naród w tym stopniu skrwawiony nie jest narodem, który się tylko wojnie przygląda, gdy inni, obcy zań walczą.

Pewna ilość Włochów i Niemców weszła w szeregi armii narodowej, również zasilonej obcym sprzętem, ale nie w większym stopniu, niż to miało miejsce u nas w r. 1920, o którym nikt nie powie, że uratowali nas nasi sojusznicy.

Należy sprostować i drugie, niemniej śmiałe kłamstwo: zniszczenia wojenne są stosunkowo niewielkie, gdy celowe, systematyczne podpalanie Hiszpanii, dokonywane w ciągu 5-letniej rewolucji w permanencji, obróciły w perzynę większość dorobku starej cywilizacji za Pirenejami. Resztki, już ocalił właśnie wysiłek wojenny gen. Franco i towarzyszy.

Przecież w Polsce po wojnie nie było niemal jednego całego mostu czy dworca kolejowego—w Hiszpanii widzi się je w stanie niezniszczonym. Nie zawadzały one czerwonym, palącym metodycznie kościoły, klasztory i inne ośrodki łacińskiej kultury kraju, zostawiającym dla własnego użytku wszelkie urządzenia techniczne.

Zasiewy można powiedzieć, prawie niezniszczone, 2—3 klm. za frontem madryckim pola są uprawione i obsiane. Przypomnijmy sobie, jak to było u nas po r. 20-ym: owe gaje brzozowe na miejscu pól uprawnych na przestrzeni kilkunastu nieraz kilometrów w Wileńszczyźnie i stepy w Tarnopolszczyźnie.

Tymczasem... zniszczenia rewolucji, dokonywane pod okiem „legalnego" rządu madryckiego, są straszne, miały za cel usunięcie i wygładzenie z powierzchni ziemi hiszpańskiej całego dorobku rodzimej, katolickiej kultury, dla umożliwienia wyrośnięcia na tem samem terytorium nowych zupełnie przejawów bytowania społecznego: Zaczęto od stopniowego wymordowywania księży; dalszym etapem były pogromy świątyń i insytucyj.

Prelegent widział pokrajane nożami obrazy, bezgłowe figury świętych, pootwierane groby, rumowiska budynków kościelnych i świątyń. W jednej tylko Salamance rozstrzelano 16 tysięcy księży i zakonnic. Opowiadania o niezliczonych, potwornych okrucieństwach stanowią obiegową monetę rozmów potocznych.

Do niedawna istniał w Hiszpanii osobny obrządek kościelny, t. zw. mozarabski, pozostałość po nawróconych Maurach, obecnie przestał istnieć, gdyż czerwoni wymordowali księży mozarabskich co do jednego.

Powstanie narodowe zahamowało pasję niszczycielską czerwonych barbarzyńców.

Notabene mało komu wiadomo, że rząd madrycko-walencki jest nielegalny: w wyborach uzyskał mniejszość głosów za to... większość mandatów (na drodze t. zw. „cudów" w komisjach wyborczych).

Zresztą rządzi on tylko nominalnie, faktycznie — rezydenci bolszewickiej republiki rosyjskiej i komitety partii komunistycznej. Opowiadano o konflikcie między generałem armii regularnej, dowódcą odcinka a miejscową komórką partyjną o locum w hotelu—generał ze wstydem musiał się wynosić z hotelu.

Opowiadał pewien oficer Falangi, że w El-Azari czerwoni uwięzili 26 osób i zamknęli w piwnicy. Ponieważ powstańcy wtargnęli do miasta, komuniści wyleli do piwnicy kilka przygotowanych beczek benzyny i wrzucili zapałkę. Uratowano tylko jednego księdza, reszta ludzi spłonęła. Jakżeż z takich faktów sądzić o „legalnym" rządzie, sankcjonującym podobnie „legalne" postępki?

Od każdego niemal napotkanego prostego człowieka usłyszeć można o mękach, zadawanych powstańcom przez czerwonych, mordujących swych przeciwników setkami i tysiącami (w samej Maladze 9 tysięcy osób).

Z powyższych danych widać jasno, że wojna hiszpańska prowadzona przez narodowców nie jest wojną bratobójczą ale walką z obcym wrogim najazdem.

Jeśli chodzi o kwestię Basków, to nieprawdą jest, że są oni tępieni przez narodowców, gdyż prawie całe ich rerytorium jest w ręku powstania. Tylko sam kraniec (Bilbao i kilkanaście wiosek) znajduje się pod władzą t. zw. rządu baskijskiego. Baskowie są zwolennikami powstania, z nich rekrutują się w ogromnej swej masie karliści, podpora ruchu. Zato Bilbao pełne jest asturyjskich komunistów. Separatyści baskijscy to niewielki odłam, cząstka zaledwie.

Główne siedlisko komunizmu to Asturia. Zato cała północ Hiszpanii jest narodowa i przejęta duchem świętej, wyzwoleńczej wojny, krucjaty w dosłownem tego słowa znaczeniu. Nawet w 20-ym roku nie było u nas takiej temperatury patriotyzmu, jak tam obecnie.

Red. Giertych widział na stacjach kolejowych rocznik 1909 rezerwy, żegnający się z rodzinami, właśnie wówczas zmobilizowany; każdy taki chłop ma na piersi przypięty medalik. Nastrój ofiary religijnej i heroizmu.

Południe (Andaluzja) jest komunistyczne, choć dzisiaj tłumy rozczarowane są po ucieczce przywódców.

Prócz słynnego Alkazaru równie może bohaterską obroną zaznaczyła się Santa Maria della Cabesa (pod Kordobą)—9-miesięczne oblężenie w małym klasztorku, wytrzymywane przez garstkę żołnierzy, obciążonych gromadą ludności cywilnej, kobiet i dzieci. Będąc w Kordobie red. Giertych widział z artyleryjskiego punktu obserwacyjnego sygnalizację świetlną oblężonych. Po jego wyjeździe forteczka padła; oblężonych okrutnie pomordowano.

18 lipca 1936 r. 14 członków *„Renovation Espagnola"* zabarykadowało samochodami gardziel historycznego wąwozu Samo-Sierra, broniąc przejścia do Navarry, gdzie organizowało się w zarodku powstanie. Po kilku dniach nadeszła pomoc 70 Falangistów, i zastała 3-ch obrońców, reszta spoczywała na zaimprowizowanym cmentarzyku. I tych 70-ciu również poległo, przyczyniając się w swoim zakresie do podtrzymania tlejącego oporu narodowców.

Pomysł tych zbrojnych w pistolety 14 cywilów powstrzymania całej czerwonej fali fantastycznością swoją przewyższa najśmielsze marzenia poetów.

W prowincji Castelion de la Plana wybucha pod wodzą gen. Molo powstanie chłopskie, t. zw. karlistów, bezbronnych lub uzbrojonych w białą broń z przed lat. Niektórzy dotarli do armii, walczącej pod Madrytem.

W Sewilli 200 ludzi zdobyło 300-tysiączne miasto.

W prow. Navarra również karliści, górale pirenejscy dali 40 tys. ochotników w czerwonych beretach w okresie żniw już pierwszego dnia po wybuchu. Bez nich padłby ruch cały.

Hiszpania, zniszczona rewolucją, pozbawiona narodowych, najlepszych oficerów, przeniesionych w stan spoczynku, ratuje się determinacją garstki działaczy politycznych i wrodzonym heroizmem mas.

Stąd nauka dla całej Europy, dla Polski w szczególności.

ST. J.

NAUKA i LITERATURA

BIAŁORUSCY KOMUNIŚCI

PRZEZ szereg lat jeden z najwdzięczniejszych terenów dla propagandy komunistycznej stanowiła inteligencja — ściślej: pseudo-inteligencja — białoruska; podłożem tego objawu była przedewszystkim niebywale niska kultura białoruskiego „inteligenckiego" środowiska, no i bliskość ośrodka światowego komunizmu Z. S. R. R. Dwa te momenty: barbarzyństwo środowiska i bezpośrednie sąsiedztwo lubranickiej „niepodległej" Biarorusi, określiły też charakter białoruskiego komunizmu, nieco odmienny od komunizmu na innych terenach — komunizm ten miał zawsze inklinacje do anarcho-bandytyzmu, w programie na pierwszy plan wysuwał i wysuwa nietyle jakieś żądania społeczne, co hasło inkorporacji Wileńszczyzny, Polesia, ale do Białorusi sowieckiej, organizacyjnie zaś zawsze był mocno związany z czynnikami administracyjnemi Mińska. Charakterystyczne też, że przy ogromnej aktywności działania przejawiał zawsze skrajną niesamodzielność polityczną.

W latach 1920 — 1923 ośrodkiem komunizmu białoruskiego był t. zw. Zakordot (oddział zakordonowy), organizacja raczej bandycko-dywersyjna, niż polityczne stronnictwo; później utworzenie Komunistycznej partii Zachodniej Białorusi niewiele zmieniło w tych stosunkach; treścią działalności tej partii pozostawały zawsze szpiegostwo, napady rabunkowe i sabotaże etc. Przy całym wpływie komunizmu na chłopską inteligencję białoruską, inteligencja ta była raczej obiektem działalności komunizmu, niż kierowniczką tej działalności. Bolszewicy już w r. 1923 nawet rozszerzyli jej granice, rządów atoli w tem „niepodległem" państwie nie powierzyli bynajmniej komunistom białoruskim; — rządy te od początku sprawowali żydzi z dodatkiem obwiesiów wszelkich możliwych narodowości — w ostatnich latach na stanowisko faktycznych dyktatorów Mińska wysunęli się: nieokrzesany bojówkarz czeczuńskiego pochodzenia Giltzułło, sekretarz generalny kompartii Białorusi i gen. Czernik, *recte* Lejzor Aronsohn, szef III oddziału sztabu Armii Czerwonej smoleńskiego okręgu, t. j. szef defenzywy wojskowej. Oddawna też datuje się zajadła walka w łonie białoruskiego komunizmu między właściwymi białorusinami, a żydowską biurokracją — już w r. 1924 — 1925 biurokracja ta dokonała formalnej rzeźi bardziej niezależnych elementów komunistycznych. Walka owa zaostrzyła się, poczynając od r. 1928, gdyż okres „*piatiletki*" stał się dla „niepodległej" Białorusi okresem generalnego rabunku tego kraju — że zaś przyszedł po okresie największej rozbudowy wpływów komunistycznych na „Białorusi Zachodniej", więc musiał łączyć się z likwidacją tych wpływów przez... G. P. U. i zależne od niego czynniki partii komunistycznej.

W krótkim czasie Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi doprowadziła system mordowania swych ludzi do perfekcji, jakiej pozazdrościłaby jej i inkwizycja wenecka — dochodzi do tego, że w styczniu r. ub. żydowski bojówkarz usiłował wykonać partyjny wyrok śmierci w... sali Sądu Okręgowego w Wilnie.

Wystąpienie z tej zbójeckiej kom-partii z zasady pociąga za sobą wyrok śmierci — podobnie jakakolwiek opozycja w ramach komunizmu. Wobec wybitniejszych asów komunistycznych szeroko stosuje się system zwabiania ich do Mińska, czy Moskwy i wyroki śmierci wykonywa się tam; w latach1930 — 1936 zlikwidowano w ten sposób ogół przywódców wielkich masowych przybudówek K. P. Z. B. z lat. 1924 — 1930 — Niezależnej Partii Chłopskiej (działającej i na polskim terenie). „*Hromady*" i „*Zmahawija*" — Giltzułło może pochlubić się, że gdy w Polsce przy całym „białym terrorze" w ciągu lat kilkunastu ani jednemu z parlamentarzystów komunistycznych włos z głowy nie spadł, to w stolicy „proletariackiej" białorusi w ciągu lat paru powybijano tych parlamentarzystów więcej, niż u nas dzików — i to przy akompaniamencie niebywałych oskarżeń, mających zohydzić ich w oczach ogółu komunistów; powybijano nieraz z żonami i dziećmi. Tak zginęli: słynny ongi komunista-chłopoman Sylwester Wojewódzki, Rak Michajłowski, Dworzanin, sekretarz generalny „*Hromady*" Barcewicz etc. etc. — pod koniec mordowano nawet prowokatorów, którzy pomagali G. P. U. w komponowaniu aktów oskarżenia. Treść tych ostatnich była zawsze ta sama: kontakt z czynnikami polskimi.

Oczywista, że ogół konkretnych zarzutów był stekiem bredni — jednakże u podłoża ich tkwi pewna prawda; otóż, przy niskim poziomie kulturalnym Białorusinów stanowią oni wyłącznie obiekt, którym kierować może jeden z dwóch czynników, zamieszkujących „Białoruś": bądź Polacy, bądź żydzi, każdy więc kto występuje przeciwko żydowskiej oligarchii Mińska, automatycznie staje się sprzymierzeńcem Polski — nawet wbrew własnej woli, podobnie, jak każdy, pracujący na tym terenie przeciwko Polsce, automatycznie staje się narzędziem owej oligarchii. W takich warunkach sympatię budzić musi każdy głos komunisty, czy b. komunisty białoruskiego, występujący przeciwko kierownikom K. P. Z. B. Głosów takich nie mamy wiele — niebywale rozwinięte w tej partii szpiegostwo wewnętrzne i skrytobójstwo potrafią głosy te tłumić, nim zostaną wypowiedziane.

Niemniej na odwagę wypowiedzenia się zdobył się w r. 1934 stary przedwojenny bolszewik, potem „*hromadowiec*" Fabian Olzinczyc („Istniewskij"), który w paru broszurach wykazał, że kompartia Białorusi jest właściwie kartelem żydziaków, który opanował całą administrację w Mińsku; [1]) po nim niejaki Stachniuk zdemaskował K. P. Z. B. jako ekspozyturę mińskiej G. P. U. — teraz do głosów tych dochodzi b. ciekawy pamiętnik białoruskiego komunisty, który zbiegł do Z.S. R.R. — Franciszka Olechnowicza „Prawda o Sowietach".

C. M.

---

[1]) Stachniuk: W szponach obcej agentury. — Brześć n/B. — 1937. — Komuniści usiłowali autora zamordować.

DYSKUSJE

ZESZŁOWIECZNE NAWYKI

JESTEŚMY, od niedawna zresztą, obarczeni jakimś najdziwaczniejszym z nałogów, nałogiem, który należy wyplenić najszybciej i jaknajskrupulatniej. Oto przy każdej niemal okazji lubimy nawymyślać własnej Ojczyźnie, pomniejszyć ją, a wszystko to, broń Boże, nie z jakichś złych intencyj, ale przeciwnie — nieraz nawet z miłości najgorętszej i w intencjach jaknajlepszych. Tak jak naprzykład w tym wypadku.

Dnia 12-go maja, z okazji koronacyjnych ukazał się w jednym z pism artykuł (autora nie wymieniam), a w nim takie myśli:

„Anglia, poza swym specjalnym narodowym charakterem pełnym czci dla przeszłości oraz przywiązania dla symboli, — ma jeszcze jedno, co wytłumaczyć musi entuzjazm milionowych tłumów, wiwatujących dziś w Londynie na cześć koronowanego monarchy konstytucyjnego. Anglicy posiadają naogół piękne tradycje królewskie i dobre wspomnienia o swych królach. W Polsce co do tego spawa przedstawia się inaczej... I to sprawia, że uroczystości londyńskie napozór w Polsce wydawać się muszą niezrozumiałymi i śmiesznymi".

Smak, pełny smak słów tych wyczujemy, gdy przeczytamy jedno ze zdań poprzedzających cytat powyższy.

„Nie są to jednak rzeczy śmieszne i niczym niewytłumaczalne, jeżeli się tylko zechce głębiej wniknąć w sens uroczystości londyńskich i istotę symbolicznego rytuału koronacyjnego. Anglia jest krajem najsilniejszych tradycyj i kultu dla minionej,—najczęściej sławnej przeszłości".

Z tego wnioski jasne jak na dłoni. W Anglii tradycje wiążące dzień dzisiejszy z minionymi są zrozumiałe, bo przeszłość jest „najczęściej sławna". My zaś tego ni mniej ni więcej tylko... nie jesteśmy w stanie zrozumieć i „...uroczystości londyńskie muszą się wydać niezrozumiałymi i śmiesznymi". Zwłaszcza, że „...Anglicy posiadają naogół piękne tradycje królewskie", a w Polsce? — Boże pożal się!...

Znana kurtuazja polska, przejaw najwyższego typu kultury, bo rycerskiej, nie zezwala mi w tej chwili, gdy Wielka Brytania święci swój dzień, na wyliczanie nienajlepszej jakości dziedziców korony angielskiej, na przebieg walk dynastycznych o takich wydarzeniach, których brak stanowi naszą specjalną dumę, wreszcie czas koronacji nie zezwala na przeprowadzanie porównania dwuch historii: Polski i Anglii, gdyż okazałoby się, że nasza jednak sławniejsza i bardziej bohaterska i bardziej w prostocie swojego postępowania wielka. I doszlibyśmy do wniosku, że jednak warto i u nas sięgnąć do tradycji sięgających poza niecałe lat dwadzieścia mające współczesne tradycje republikańskie, które widocznie autorowi bardziej imponują i większą go przejmują dumą, aniżeli osiemsetletnia historia dawniejszej Polski.

Nawet sobie bardzo nie zdajemy z tego sprawy, jak mocno skroił nas na swoją modłę styl wieku XIX-go, jak często pogląd nasz jest mieszaniną rewolucyjnego typu myślenia w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, z zastarzałymi frazesami, będącymi akcesoriami rewolucji zeszłowiecznych, które winny się już chyba znaleźć w muzeum osobliwości (*panopticum*) narówni z republikańskimi kokardami, gilotyną Wielkiej Rewolucji, modelem spalonej Bastylii, czerwonymi sztandarami, na które wskazując paluszkiem będą się niezawodnie pytać nasze dzieci: „Tatusiu, a co to?", narówni wreszcie (już jako rodzime eksponaty) z rozpamiętywaniem t. zw. wad narodowych, wytykaniem upartym błędów, wyszukiwaniem w historii dni czarnych, najczarniejszych, klęskowych, by potem powiedzieć: „A na Zachodzie, panie, tak... a na Wschodzie, panie, tak..." i pokiwać smętnie głową, że kochana, bardzo kochana Polska nieszczęśliwa ogromnie, bo i historia smutna i królowie, ach — trudno nawet wspominać!...

Trzeba wreszcie stanowczym ruchem odepchnąć się od dni, co to zmuszały nas do wynajdywania powodów katastrofy państwowej z końca wieku XVIII-go. Nie wyszukujmy owych wad narodowych, które pomijają najczęściej ich urojoność, są wadami albo jednej warstwy utożsamianej z całym narodem, albo wadami typu niepolskiego, naniesionymi przez obce wpływy czasowo i jedynie na mniejszy, lub większy moment historyczny. Trzeba szukać w przeszłości nie małości, ale wielkości. Tak zresztą, jak i w życiu codziennym. Lepiej nawet, wierzcie mi, wychowuje miłość własnego narodu tak przeogromna, że aż zdawałoby się dochodząca granic bezsensu, gdy każe nawet kochać błędy polskie dlatego tylko, że są one polskimi.

Widzę już, jak czytelnik wzrusza ramionami; niechaj jednak zada sobie nieco trudu i sięgnie po „Pana Tadeusza". O paradoksalnej prawdzie słów moich przekona go większy aniżeli mój autorytet—Adam Mickiewicz.

Zeszłowieczne nawyki tak mocno tkwią w naszym sposobie myślenia, że aż pobudzają do pisania takich dzieł, jak prof. Bystronia „Megalomania narodowa". Jeszcze ją tępić? Byłoby to już, niestety, w tej chwili dobijaniem tego, co ledwo żyje. A jednak, czy większą zdobycz naszej psychiki stanowiło przeświadczenie, że Niemiec „kusą", śmieszną figurką, którą chłop polski identyfikował z najgłupszym rodzajem diabła, czy większą zdobyczą jest poczucie własnej niższości wobec „*kollosal-Reichu*", którego wzory ustrojowe gwałtem chcemy narzucać sobie (i to także z pobudek... nacjonalistycznych). Jakże daleko odbiegliśmy od czasów, gdy miasta pruskie oddawały się dobrowolnie we władanie królów polskich! Naweteśmy o tym zupełnie zapomnieli, mając w pamięci conajwyżej tylko, oczywiście, panowanie saskie jako wstęp do czasów porozbiorowych. W Polsce naprawdę „...co do tego sprawa przedstawia się inaczej..." aniżeli sądzisz publicysto z którym dyskutuję.

Zaznaczam, iż chodzi mi tylko o podkład psychiczny, nie wykluczający bynajmniej zdrowego, bardzo potrzebnego zmysłu krytyki, byle bez niepotrzebnych, szkodliwych kompleksów, które tępić należy na każdym miejscu i na każdym kroku, chociażby najpoczciwsze miały intencje a przejawiały się w sposobie rozumowania przyjaciół. Tymbardziej, jeśli przyjaciół.

Nacjonalizm ma ambicje ukształtowania duszy narodu według innej miary, aniżeli obecnie jest ona skrojona, sam więc do tej pracy przystąpić musi bez starych nawyków. Frazeologię demokratyczną do owego muzeum na pożarcie molom. Może poginą. A przed tym popatrzeć raz jeszcze na nią, by pośmiać się trochę. W przeciwnym bowiem razie inni się z nas będą śmieli. I bardzo, a to przykre.

JAN BAJKOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

Żurek Franc. Powiat Krasnostawski w walce o wolność. Z przedmową H. Radlińskiego. Warsz. 1937. Str. VIII i 296.

Slavia. Czasopis pro slovanskou filologii. Rocz. XIV, zesz. 1—2. Praga 1935—36. S. 320.

Piłsudski Józef. Pisma zbiorowe. T. I. Warsz. 1937, Inst. J. P. Str. VII, 298 i X,

Prus Bolesław. Sieroca dola. Warsz. Geb. i Wolff. Bibl. Uniw. Ludowych.

Goetel Ferd. Pątnik Karapeta. Cyprian Czyż. Tamże.

Kaden-Bandrowski J. Droga wolności. Bibl. młodzieży. Warsz. Geb. i Wolff.

Kutrzeba Tadeusz gen. Wyprawa kijowska 1920 r. Warsz. Geb. i Wolff. Str. 360 i 8 map.

Pigoń Stanisław. Krasiński w „Zwolonie" Norwida. Warsz. 1937. S. 32. Odb. z „Myśli Nar."

Pigoń Stanisław. Kartki z pamiętnika (1914). Kartka 1937. S. 23. Odb. z „Głosu Narodu".

Birkenmajer Józef. Prace o Kasprowiczu (1926—1936). Lwów 1937. S. 30. Odb. z „Pam. Lit."

Ruch Literacki, nr. 2 r. 1937.

POKŁOSIE

SPOJRZENIE WSTECZ

SPOJRZENIE wstecz jest zawsze bardzo pożyteczne: ukazuje nam jak wiele drogi już uszliśmy, a często przez samą zawiłość tej drogi, jej zakrętasy i zboczenia poucza o tym jak bardzo skomplikowane są sprawy tego świata, jak trudna nieraz w nich orientacja i jak się nie poddają szablonom.

Zastanówmy się z tego punktu widzenia nieco nad Brześciem i jego sprawami.

Przed czterdziestu laty Brześć nad Bugiem, wówczas powszechniej zwany Brześciem Litewskim w odróżnieniu od Kujawskiego, był oczywiście nie mniej żydowskim miastem, niż dziś, może nawet, jako zapadła dziura prowjncjonalna, jeszcze bezapelacyjniej był oddany wpływom i władzy żydów. W dodatku byli to oczywiście tzw. litwacy, obnoszący ostentacyjnie swą wrogą wobec polskości postawę, używający bardzo często, przynajmniej nazewnątrz języka rosyjskiego i nadający w ten sposób krajowi pozory rosyjskiego charakteru.

I oto przed tymi czterdziestoma mniej więcej laty, niestety nie jestem w tej chwili w możności sprawdzenia w jakim źródle i podania ścisłej daty, wybucha w Brześciu katastrofalny pożar i niszczy ogromną część miasta. Wrażenie było ogromne, gdyż do samych rzeczywiście niezwyczajnych rozmiarów klęski dołączyły się głuche wieści o umyślnym jakoby wywołaniu pożogi. Brześć był jak wiadomo fortecą bardzo w rosyjskim systemie obrony ważną, a miasto usadowiło się, a raczej forteca objęła je, (boć miasto starsze od fortecy) w sposób dla siebie niewygodny, maskujący dostępy i obstrzał i przeszkadzający łączności fortów między sobą. Więc podobno władze rosyjskie postanowiły naprawić niewygodną sytuację za pomocą środka prostego i jacyś niewykryci sprawcy ogień w pewnej chwili podłożyli... Trudno wiedzieć, jak tam w rzeczywistości było, faktem jest, że po pożarze nie pozwolono odbudowywać się na dawnych miejscach, ale to oczywiście nie może być dowodem umyślnego podpalenia, a jest tylko naturalnym wykorzystaniem sposobności.

Nie o to zresztą mi chodzi, lecz o reakcję społeczeństwa polskiego. Otóż była ona bardzo żywa i natychmiastowa. Bez dłuższego porozumiewania się dzienniki warszawskie ogłosiły składki na pogorzelców i po krótkim jakby wahaniu składki te zaczęły wpływać w sposób tak szybki i obfity, że niebawem zwróciło to uwagę prasy rosyjskiej, która zorientowała się dobrze i zaczęła denuncjować akcję Polaków, jako wypływającą nie z miłosierdzia chrześcijańskiego, lecz z pobudek czysto politycznych.

Diagnoza polakożerczej prasy moskiewskiej nie pozbawiona była trafności, bo miłosierdzie miłosierdziem, ale istotnie ostrogą, pobudzającą ofiarność w Polsce był w tym wypadku wzgląd polityczny, państwowo-polski. Społeczeństwo polskie chciało czynnie zamanifestować, że czuje się gospodarzem na tych, chociaż etnograficznie niepolskich ziemiach i jako gospodarz uznaje swój obowiązek odbudowania zniszczonego miasta i natychmiast podejmuje w tym kierunku kroki.

Tak było przed czterdziestu laty. *O, quae mutatio rerum!* możnaby wykrzyknąć na wiadomość o tym, że dziś ludność polska w odpowiedzi na zabójstwo urzędnika państwowego, dokonane przez żyda, demoluje sklepy i mieszkania żydowskie, może te same, które przed czterdziestu laty podniosły się ze zgliszcz i gruzów dzięki składkowym ofiarom polskim.

Istotnie, na pierwszy rzut oka bardzo to fantastyczny zawijas historyczny. Ale tylko pozornie, gdyż dwie te „akcje" bynajmniej nie są ze sobą w sprzeczności. Społeczeństwo polskie odbudowywało swymi składkami spalony Brześć, bo mimo iż pozbawione państwa i rządu chciało pokazać i pokazało, że nie rezygnuje z praw i obowiązków zwierzchności nad ziemiami Rzeczypospolitej, chociaż Moskale od stu lat tej roli zabraniają. A że w danym wypadku korzystała z tego ludność żydowska, to oczywiście nie mogło być decydujące.

W ciągu tych czterdziestu lat, jakie od tamtych wypadków minęły, wiele się zmieniło, a przede wszystkiem znikła wiara w już nie zasymilowanie żydów, ale nawet w doprowadzenie do tego, iżby się stali szczerze lojalnymi obywatelami państwa polskiego, pogodzonymi z nim, wiążącemi z nim swój los i niezerkającymi ustawicznie na wschód, czy zachód.

Dzisiejszy odruch brzeski jest tak samo przejawem poczucia państwowego, jak nim był zapał składkowy przed prawie pół wiekiem.

Sens moralny tej historii jest jednak taki, że o ile przed pół wiekiem, pozbawieni zorganizowanej egzekutywy państwowej, byliśmy skazani na reakcje odruchowe, to dziś możemy podobne odruchy usprawiedliwiać, ale musimy się domagać, żeby zamiast nich jak najrychlej wdrożona została odpowiednia polityka państwa, która takie odruchy uczyni zbytecznymi i zapobiegnie ich powstawaniu, czego sobie przecież wszyscy życzymy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Publicyści sanacyjni, uzdrawiający politykę polską, bywają w ciężkim kłopocie przy zetknięciu się z literaturą naukową. Wychodzący w Warszawie, jako organ Tow. polsko-ukraińskiego, „Biuletyn Polsko-Ukraiński", mętny i bałamutny w swych tendencjach, przytacza z „Myśli Narodowej" urywek rozprawy prof. Feliksa Konecznego o cywilizacji bizantyńskiej. Chciałby z twierdzeń znakomitego uczonego zrobić jakieś pośmiewisko, ale nie mając nic do powiedzenia, obwąchuje cytatę i ozdabia jedyną rzeczą, którą może zrobić, mianowicie swojem: „sic". Nastrzyknąwszy cytatę siedem razy w ten sposób, poklepuje uczonego po ramieniu.

— „Wynalazek p. Feliksa Konecznego należy uważać za niesłychaną sensację naukową. Radzimy p. F. K., jaknajprędzej go opatentować!".

Niewiarygodna jest ta fantazja patentowanego sanatora dziejów, który się ani domyśla, że ma do czynienia ze znakomitym historykiem Rosji i Bizancjum.

*

W rozmowie redakcyjnej na temat „Schludności", poruszony dzisiaj w rubryce „Na widowni", rzucono myśl, aby ten artykuł posłać w charakterze memoriału Polskiej Akademii Literatury. Należałoby go posłać na ręce dyrektora kancelarii Akademii p. Rusinka, autora powieści „Pluton z dzikiej łąki" dla doręczenia generalnemu sekretarzowi Akademii Kaden-Bandrowskiemu, autorowi „Czarnych skrzydeł".

Któż bowiem ma przestrzegać schludności w literaturze, jeśli nie Akademia?

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.